

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III

Warszawa, 2 listopada 1947 r.

Nr 44 (101)

TREŚĆ NUMERU: Bolesław Piasecki – Ich śmierć i nasze życie. Wytuczne. Jerzy A. Górski – Rozmowa. Lista poległych. Zygmunt Lichniak – Testament Osterwy. W kraju. Zygmunt Jakimiak – Światopogląd ks. Jakubisiaka wobec nauki i objawienia. Serce Warszawy. W świecie. Tydzień kulturalny. Stefan Kisielewski – Zbrodnia w Dzielnicy Północnej. Ks. Henryk Weryński – Cuda w Liskowie.

Bolesław Piasecki

ICH ŚMIERĆ I NASZE ŻYCIE

Należy to jasno stwierdzić — społeczeństwa europejskie są wystawione na pokusy dekadencji i w dużym stopniu ulegają jej z upodobaniem. Źródła tego zjawiska są potężne. Rozkład wywołany dezorganizującymi skutkami wojny sumuje się z chaosem okresu przejściowego między odchodzącym, a powstającym światem. Nic więc dziwnego, że codzienne doświadczenie styka nas z całą gamą form w jakich dekadencja występuje.

Jeśli człowiek tworzy sobie własny wewnętrzny świat, jeśli gromadzi w nim blaski i barwy piękniejsze od spotykanych w jego otoczeniu, to postawa taka niczego nie przesądza. Wszystko wtedy zależy od woli i wysiłku wkładanego w przemienianie rzeczywistości na miarę własnego widzenia. Tylko wtedy można gromadzić, o ile się rozdaje. Inaczej następuje skarlienie. Często, bardzo często spotykamy obecnie ludzi żyjących w sztucznym świecie. Jednostki te są głuche i ślepe na dźwięki i kolory rzeczywistości; spostrzegają one tylko to, co im odpowiada, albo to do czego były przyzwyczajone, a zatem bardzo niewiele. Odbierane od rzeczywistości świata doznania przechodzą w tych ludziach przez filtr kompleksów i urazów, który fałszuje i zubaża w ich duszach prawdę o świecie, na którym żyją. Powstaje w ten sposób rzeczywistość wewnętrzna człowieka, która nie jest kluczem do świata, ale ciemną zasłoną zawieszoną nad nim. Nic wtedy z wewnętrznego życia nie można innym rozdać, bo jest ono niewspółmierne z rzeczywistością, bo jest od niej biedniejsze. Zjawisko to atomizuje życie społeczne przerywając możliwość komunikowania się ludzi między sobą. Zdrowa chęć posiadania własnego świata zamienia się w ucieczkę do sztuczności, mija się z prawdą życia. I to jest rys dekadencji.

Ludzie wojny, ludzie samotnych marszów nocnych znają zjawisko fantastyczności świata widzianego w księżycowo chmurnym oświetleniu. Kształty i odległości wydają się wtedy niesamowite i w jakiś inny sposób ruchome. Łatwo jest o strach i zwątpienie.

Wydaje się, że zbyt wielu ludzi żyje obecnie w taki i nocy nierealnej, a dobrowolnie sprowadzonej przymknięciem oczu na pełnię rzeczywistości.

Cóż to jest konstruktywne polejście człowieka do człowieka? W gruncie rzeczy jest nim jedy-

nie wychowawcza postawa polegająca na daniu bliźniemu tego czego mu potrzeba i na co nas stać. Otóż tak rozumianej i wychowawczej postawy jest za mało. Zaufanie między ludźmi współczesnymi zbyt często sprowadza się do zwierzania się z licznych przedmiotów swej niewiary, czy rozczarowania. Na ratowanie się wzajemne i sił nie ma i zainteresowania nie staje. Jak można sobie pomagać, skoro się wzajemnie żyje w różnych, bo sztucznych światach?

Niechęć do patrzenia na rzeczywistość szeroko otwartymi oczami, na rzeczywistość pełną, złą i dobrą, polityczną, moralną, ideową, gospodarczą, kulturalną i jakkolwiek się określić ją zechce powoduje zanik instynktu samozachowawczego. Wielu ludzi tak dalece nie zna i nie widzi celu poznania współczesności, że najbardziej prymitywne pragnienie, pragnienie bezpieczeństwa wiąże z cudzą, nieznaną, obcą siłą. Jednostki te są tak słabe, że boją się tylko innych i oczekują ratunku

od obcych. Zapomina się zaś, że jedyne ubezpieczenie człowieka przed szalejącym światem znajduje się w jego własnym rozumie i własnym uzdolnieniu do miłości. Nie sposób jednak niczego skutecznie kochać, ani rozumieć, nie znając rzeczywistości.

Czy zjawisko takiej dekadencji jest powszechne, czy fałszowanie wewnętrzne i lęk przed rzeczywistością występuje u licznych wśród nas? Dość jest przyrzyć się zwolennikom i przeciwnikom, obcym i swoim, a na pewno łatwo będzie wybrać choć jednego, by ratować go przed sztucznością i jednostronnością ubóstwa wewnętrznego świata, w którym żyje.

**

Jedną z najpewniejszych prawd jest ta, że nie ma innego, wartościowego sposobu życia, niż żyć według i dla potrzeb tego, co się kocha. Trzeba mieć tylko świadomość, że należy walczyć o to, żeby móc kochać. Tu jest istota dekadentki pokusy naszych cza-

sów. Ludzie nie chcą walczyć z sobą o miłość do celów, bez których ich życie jest puste, gdyż nie mają czemu służyć, lub też miłość ich jest bezskuteczna, a przedmiot ukochania nie odnosi korzyści z ich służby. Nie ma miłości bez poznania możliwie pełnej prawdy jej przedmiotu. Miłość właśnie jest tą siłą, która daje moc poznawania rozumowi i pozwala mu wymajdywać w każdej sytuacji sposoby zaspalania potrzeb przedmiotu ukochania.

Miłość Polski współczesnej to przede wszystkim miłość żyjących Polaków. Zbyt duża ilość Polaków cierpi w sposób zawiniony czy niezawiniony, zbyt dużo ludzi oderwało się od rzeczywistości i nie widzi przyszłości, byśmy mogli o tym zapominać dla jakichkolwiek obecnych czy przewidywanych zdarzeń. Musimy widzieć procesy światowe, ale zajmować winniśmy się ich skutkami w duszy polskiej. Nie ma tu żadnego czekania, żadnego odkładania.

Musimy my Polacy móc liczyć naprawdę na siebie, że się obcho-

dzimy w naszych potrzebach w tym, że jesteśmy w błędzie lub prawdzie, w tym, że się zgadzamy, czy różnimy, czujemy się silni czy słabi. Starcia doktrynalne muszą się u nas odbywać między ludźmi duchowo zdrowymi i twórczymi. Może będą one wtedy silniejsze i gwałtowniejsze, ale nabiorą naszego polskiego sensu. Dlatego w stosunkach między sobą promieniujemy tym, w co wierzymy, a nie tym, czemu nie ufamy. Promieniujemy dobrem, które mamy, a nie potępieniem złego, które widzimy u innych. Tam, gdzie przekonanie nasze każe nam powiedzieć „nie”, czy „przeciw”, pokazujemy jednocześnie nasze „tak” i nasze „z nami”. Miejmy odwagę wobec okoliczności naszego działania. Są one trudne dla nas katolików, spirytualistów, uznających za błędne nurty ideologiczne materializmu dziejowego i kapitalizmu. Lecz przecież my wiemy, komu mamy służyć — konkretnym, żywym Polakom we dług naszej wiary świętej w odpowiedzialności za Polskę. Nie może być okoliczności zbyt trudnych, by odłożyć służbę. Można być tylko za słabym, by mieć czym służyć lub zbyt pysznym i rozumieć służbę tylko jako rządzenie z całą jego scenarią efektów. Okoliczności wymagają rozumienia rzeczywistości, nie tylko naszej, ale europejskiej i światowej. Uczmy się ją rozumieć. Okoliczności wymagają ponoszenia odpowiedzialności — ponośmy ją. Okoliczności są przecież tylko dodatkiem. Zasadą jest miłość celu.

Spotykając się nawzajem w naszym codziennym życiu oceniamy siebie i oceniamy, ale po to, by sobie pomagać, a nie po to, by się nawzajem dyskwalifikować. Postawa nasza, niezależnie od tego jak wielką może być świadomość własnych braków, musi być postawą wzajemnej wiary w mocne dobro.

**

Dzień Zaduszny dla nas Polaków ciągle jest jeszcze dniem poległych za Polskę. Śmierć tylu najlepszych, śmierć złożona przed Bogiem za nasze życie i dla poziomu naszego życia, czyni z Dnia Zadusznego dzień rachunku sumienia. Sens naszego życia zestawiać musimy z wartością ofiary ich śmierci. Pamiętać przy tym trzeba, że polegli za Polskę oddali życie za wszystkich Polaków. Nie będziemy z nimi w przyjaźni troszcząc się o wartość własną czy najbliższych sobie. Służyć trzeba naprawdę wszystkim Polakom.

Bolesław Piasecki

Wytuczne

Z księgi św. Augustyna

„O obowiązkach względem zmarłych“

(Rozdz. 213)

Troska o pogrzeb, uroczystości pogrzebowe i pompa ich są pociechą raczej dla żyjących, niż wsparciem dla zmarłych. Nie jest to jednak powodem, aby ciałem nieboszczyka pogardzać, zwłaszcza ciałem sprawiedliwych i wiernych, którymi dusza posługiwała się święcie jako narzędziami i pomocą do różnych dobrych uczynków. Jak odzież lub pierścień ojcowski, lub inne tego rodzaju pamiątki, tym są droższe dla dzieci, im większa jest ich miłość dla rodziców, tak nie należy odnosić się bez uszanowania do ciał naszych, które są z nami bardziej spojone, niż jakakolwiek odzież. Ciała nie są bowiem nam tylko ozdobą lub obcą pomocą, lecz należą do samej natury człowieka. Dlatego z dawien dawna pobożność starała się gorliwie o oddanie ostatniej posługi sprawiedliwym i dbała o ich pogrzeb, a i oni sami za życia wydawali polecenia synom, odnoszące się do swego pogrzebu, a nawet i do przenoszenia zwłok.

Gdy wierni składają zmarłym ten serdeczny dowód przyjaźni przez pamięć o nich i modlitwę, czyn taki niewątpliwie jest pożyteczny tym, co za swojego życia w ciele zasłużyli sobie na to, by podobne wsparcie mogło im być pomocne po śmierci. Lecz wówczas, gdy skutek przeszkody nie ma możliwości pochowania ciała, albo pochowania go w miejscu świętym, nie należy zaniedbywać modłów za umarłych. Dlatego właśnie kościół podjął się tej modlitwy za wszystkich zmarłych ze społeczności chrześcijańskiej bez wymieniania ich imion, a tylko przez ogólne ich wspomnienie, aby ci, za których nie modlą się rodzice, krewni, lub przyjaciele, otrzymali pomoc od tej jedynej wszystkich Matki. Gdyby wszakże zabrakło tych modłów, zanoszonych za zmarłych z prostą wiarą i pobożnością, sądzę, że na nic by się ciału nie zdało choćby na najświętszym miejscu było pochowane.

ROZMOWA

Wzrocznie zapadający zmrok pachnie wędzącym kwieciami, spalenizną i mgłą. Znasz przecież ową szczególną woń snującą się w dzień zaduszny po cmentarzach... Nic się zmieniło się bowiem przez tych kilka lat... Tak samo jak wówczas szeleszczą pod stopami zeschnięte, żółto-czerwone liście, tak samo chrzęści żwir i szmerzą ludzkie, bojaźliwie ściszone głosy w każdej alei. I kolorowe świeczki palą się tak samą rzucając na świeżą barwę kwiatów odblask żałobny.

Pamiętasz chyba jeszcze wszystkie zadusze dni Twego krótkiego życia. Mamże więc mówić Ci o grobach, nad którymi znów oczy zachodzą łzami, o grobach, na których tylko tradycja i konwenans każe złożyć wiązaną kwiatów, bo milczą już serca i pamięć nie tętni miłością. Mam opowiadać Ci o smutku opuszczonych, zapomnianych mogił zarastających najżywszą chyba tutaj zielenią chwastów i mchu?

Modlimy się codziennie za was umarłych szepcząc słowa, które są jednocześnie prośbą skierowaną do Boga i bezmierną tęsknotą. Wspominamy was, jakże często, wśród biegu naszego powszedniego życia — milczeniem, nieraz fałszywym uśmiechem maskując nadpływającą zniechęcającą falę bólu. Mówią nam o nieposkromionej sile życia, zakazują wspomnień, bronią samotnych rozmyślań. Tak mali i słabi ludzie chcą walczyć z potęgą. Chcą walczyć z imieniem śmierci skoro nie mogą pokonać jej samej.

Życie, powiadają, rządzi się swymi prawami. Kiedy umiera nam ktoś bliski, ktoś bardzo kochany, ogarnia nas żal, smutek, czasem rozpacz, czasami nawet bunt. A jednak po kilku dniach wracamy do zwykłych zajęć, do rozważania rażąco przyziemnych zagadnień, odzyskujemy normalne spojrzenie na świat. Przyspekujemy sobie, że zawsze pamiętać będziemy o tych, których zabrakło nagle, przysięgamy im wiernie doznana, wierność ich myślom i czynom, a później... zaciera się obraz czyjeś twarzy i cichnie dźwięk zagubionych w powietrzu słów. Oddychamy znów pełną pierśią, odnajdujemy drobne i wielkie radości, zaczynamy żyć od nowa... A mimo to nie zapominamy. Jak to się dzieje? — dziwimy się nieraz jak gdybyśmy nie wiedzieli, że to, co nazywamy obłędem prawem zapomnienia jest prawem zwycięskiej namiętności.

W ten dzień, dzień zaduszny, wracamy myślą ku umarłym. Przychodzimy na miejsca, gdzie leżą ich ciała zmózone snem wiecznym. Modlimy się do Wszechmogącego, by dał im wieki światłość. Łączymy się z nimi modlitwą i wspomnieniem. Taki jest sens i cel tego święta.

A jednocześnie dręczy nas niepokój jakiś. Krąży koło nas natrętnie myśli, przesiąknięte oparem strachu. Śmierć. Nieuchronna, nieubiegana śmierć, o której tak pięknie pisał przed wiekami Blaise Pascal. Przerwał go niezbadany ogrom wszechświata, napawała trwoga niepewność ludzkiego losu, a jednak dusza jego płonąła ogniem niewzruszonej wiary i ufności w przyszłość. „Jedno co wiem to to, że muszę umrzeć”. I oto on właśnie, człowiek, najsłabszy stwór na świecie, trzcina-kolataną wiatrem, nie bał się śmierci, był bowiem trzcina myślącą.

My zaś lękamy się ciągle, chociaż nie wiemy co jest powodem tej wszechobecnej bojaźni. Powiada Francis Bacon: „Pompa mortuis magnis terret quam mors ipsa”. Nie, to nie migotliwe płomyki gromnic, czerwień okryty katafalk i majestatyczny rytm egzekwii odbijający się echem brzmianym jak memento w ciemnym kościele. Stokrotnie większy strach budzi w nas spokojna, pogodna, często rozjaśniona uśmiechem twarz umar-

łego człowieka. Tak samo czują niewolnicy stojąc w obliczu prawdziwej wolności.

Kto wie czy ta świadomość tej prawdy nie podyktowała poganinowi noszącemu imię Sokratesa, twardego zdań wyrażających pogardę i lekceważenie zarazem dla tych co boją się śmierci.

Śmierć była dlań czymś niewiadomym, co nie może zostać oznaczone jako dobro czy zło. Jakże więc on, filozof, mógł się pogodzić z bezapelacyjnym określeniem jej jako zła, podczas gdy głos wewnętrzny napawał go otuchą choć nie zabłysło mu światło wiary, nie dotarła doń łaska zrozumienia.

A my wiemy zaś, iż śmierć jest dobrą. Śmierć jest piękna na przekór średniowiecznym malowidłom przedstawiającą ją w postaci chydnej zjawy. Jest dobra i piękna jak wszystko co nas przybliża ku Bogu.

Jakże dziwne drogi prowadzą czasem do zrozumienia tej tak prostej prawdy. Marcel Brion wielbił piękno

śmierci nie znając jeszcze Boga. Przez pochwały samobójstwa, przez obłędny kult eutanazji szukał źródeł tego piękna, aż wreszcie dotarł do Boga i ukorzył się przed Nim.

Na życiu naszym ciąży potworny paradoks: wierzymy w żywot wieczny a jednocześnie oślepiamy nas bezrozumny instykt przywiązania do doczesności, jak gdyby obce były nam słowa Chrystusa Pana: Jam jest żywot i zmartwychwstanie...

LISTA POLEGŁYCH działaczy b. Konfederacji Narodu i Żołnierzy „Uderzenia”

WRZESIEŃ 1939 R.

Cimoszyński Stanisław,
Herlen Józef,
Przybysz Witold,
Sznarbachowski Klemens,
Wiłki Tytus.
ROZSTRZELANI PRZEZ NIEMCÓW
„Brzechwa” — Kozłowski T., ppor.
„Chrostowski”, „Łomień” — Trzebiński Andrzej,
„Ewa” — Noskowska Ir., sierż. pdchr.,
„Felek”,
Furchel,
Gajdziński Wojciech,
„Górnicki”, kpr. pdchr.,
„Hanka” — Anna Gruszczyńska,
Horlitzko Jerzy,
„Irma”,
Iwznowski Benedykt,
Jarosz Stanisław,
„Kajtek”, „Zbrzyca” — Górzny Kajetan,
„Krzyk” — Krzykowski,
Kwasieberski Wojciech,
Łożański Stefan,
„Lilka” — Lipko Ludmiła,
Lipkowski Tadeusz,
„Łoboda” — Łobojko, mjr.,
„Marika”, ud.,
Mirkowicz Maria,
„Myszka” — Zarembska,
„Orlikowski” — Kopeć Zygmunt ppor.,
Osiński Henryk,
„Powiślak” — Fedorowicz,
Pajterowska Halina,
Świetlicki Andrzej,
Urbanek Antoni,
„Wirecki” — Lapiński Lucjan.
POLEGLI W AKCJACH W W-WIE
„Czarnota” — Bojarski Waclaw,
„Dłuski” — Gruszczyński Zbigniew,
„Górny” — Paszkiewicz Ludwik,
„Iza”,
„King” — Walicki Jan, por.,
„Mirek” — Szonert Mirosław,
Nawrot Mieczysław, por.,
Nowakowski Julian, por.,
„Oliwa”,
„Orsza” — Plewcyński Mirosław,
„Romanowski” — Kostek - Biernacki Leszek, por.,
„Smoleński” — Cybichowski Jerzy, por.,
„Spad” — Marek Świtalski Jan, mjr.,
„Stachiewicz” — Walewski Jan,
„Terlecki” — Malyszko Jan, kpr. podch.

POLEGLI W OŚWIĘCIMIU
Hniedziewicz Jerzy,
„Jeleński” — Johansen Franciszek,
Konarski,
„Mielnicki” — Moszyński Jan,
„Niewiadomski” — Perkowski Jan,
„Orda” — Krawiec Jan,
Pac Pomornacka Halina,
Piasecki Jerzy.

POLEGLI NA MAJDANKU
„Adam” — Koczyński Onufry Bron.,
„Danek” — Rzeziński Bogdan,
„Kitajgród” — Krokowski Radomir,
Licki Zbigniew,
„Łowicki” — Jałowicki Andrzej,
„Skiba” — Śmielecki Jan,
Szczytowski Zbigniew,
„Szydłowiecki” — Anteck Roman,
Włodarczyk,
„Zapolski” — Kamiński Zdzisław, pdchr.,
Zaremba, ppor.,
„Zygmunt”.

POLEGLI W WARSZAWIE
Marsz, sierż. podchr.,
Krzemień, „Łoś” — Grądzki Czesław, kpt.

POLEGLI W PARTYZANTCE
„Adas” ud. — Sikorski Adam,
„Andrzelewski” — Myszkorowski Andrzej, pdchr.,
„Bajbuza”,
„Belgrad”, ud.,
„Białek”, kpr. podchr.,
„Byskawica”, ud.,
„Bończa” — Borowski Andrzej,
„Branibor”, ud.,
„Burza”,
„Cecora”, kpr.,
„Czarny”, ud.,
„Czarny” — Czarnocki Zbigniew, por.,
Czarski, ud.,
„Don” — Siedlecki Jan, ppor.,
„Dąbrowa”, kpr. pdchr.,
„Eskulap”, podchr.,

„Franek”, kpr. CKM
„Furman”, ud.,
„Gnuss”, plut. pdchr.,
„Gołąb”,
„Gorajski” pdchr.,
„Grot” — Sosnowski Adam, ppor.,
„Grot”, pdchr.,
„Gromnicki”,
„Irmus”, plut. pdchr.,
„Iwanka” — Zarzycka Hanna ud.,
„Jędrzejowski” — Schön Michał,
„Józwa”, plut.,
„Jur” — Klejbor Henryk, ppor.,
„Jurandowicz” — Grądzki, plut.,
Karendys, kpr. pdchr.,
Karski, plut. pdchr.,
„Kazik”,
„Kamlicz”, pdchr.,
„Kłes”, ud.,
„Kopora”, ud.,
„Kozłowiec”, ud.,
„Kran”, ud.,
„Krawczak” — Klejbor Bohdan, pdchr.,
„Kruszyna”, kpr.,
„Krystyna” — Osuchowska Kryst., ud.,
„Krystof” — Smolarski Bohdan, pdchr.,
„Kubala”, kpr. pdchr.,
„Kubus”, ud.,
„Kula”, ud.,
„Kurpski”, kpr. pdchr.,
„Kwiatkowski” — Dąbrowski, ppor.,
„Laska” — Szczyński Zbigniew, ud.,
„Lichtak”, ud.,
„Licki” pdchr.,
„Lira” — Motel Tadeusz, ud.,
„Ludwik” — Ozienko Edward por.,
„Łada”, Dolnick Jerzy, pdchr.,
„Łowicki”, kpr. pdchr.,
„Makowski”, ud.,
„Meks Andrzej, pdchr.,
„Małgorzata” — Iwanicka Maria, por.,
„Miętuś”, ud.,
„Mora”, ud.,
„Mostowicz”, plut. pdchr.,
„Nemo”, ud.,
„Nowak”, ud.,
„Okoń”, kpr.,
„Olgiert” — Hniedziewicz Stan. por.,
„Olszyna” — Cierlak Ryszard, kpr.,
„Orlicz” — Tadeusz Królak, sierż. pdchr.,
„Orlicz”, „Zbik” — Radzikowski Leszek, ppor.,
„Orzel”, ud.,
„Ostrowski” — Bieliński Jerzy, kpt.,
„Oszmieniec” — Kluk Antoni, kpr. pdchr.,
„Partyzant”, kpr.,
„Pasazer” — Eugeniusz Świętochowski, ud.,
„Pieprz”, kpr. pdchr.,
„Piorun” — Safaryn Aleksander, plut. pdchr.,
„Podgórski”, plut. pdchr.,
„Poltawa”, ud.,
„Protazy” — Mazur Stan. plut. pdchr.,
„Poraj”, ud.,
„Prusak”, kpr.,
„Pawłowski” — Jagodziński Stefan,
„Robert”, sierż. armii francuskiej,
„Roch” — Szeptowski Lech, sierż. pdchr.,
„Różga” — Julian Witkowski, kpr.,
Rudzi, pdchr.,
„Rumun” — Rutkowski Jan,
„Rumm”, ud.,
Siwek Stanisław, ud.,
„Sokół” (Jan),
„Sum” — Kobyłański Zbigniew,
„Szary” — Iwanowski Edward, kpr.,
„Szary” — Szlubowski Sławomir, ppor.,
„Szatań”, ud.,
„Szczupak”, st. ud.,
„Szczupak”, ud. z Wołkowyska,
„Szerzeń”, plut. + 4 żołnierzy,
„Świerk”, ud.,
„Tabor” — Laskowski Jerzy, plut. pdchr.,
„Teresa” — Maciejewicz Danuta, ppor.,
„Ucho”, kpr. pdchr.,
„Wicek”,
„Wicus”, ud.,
„Wiklina”, ppor.,
„Wilk”, ud.,
„Wilk”, kpr. pdchr.,
„Włódek”, ud.,
„Zabawa” kpr. pdchr.,
„Zawada” — Kaiserbrecht Jan, pdchr.,

„Zawada”, ud.,
„Zbik”, plut.,
„Żwirski”, plut. pdchr.

POLEGLI W POWSTANIU WARSZAWSKIM
„Dalk” — Pietrzak Włodz, ppor.,
„Basia z Siedlec” — Karpiakówna B.,
„Bocheński”, „Płomieńki” — Orlikowski Stanisław, sierż. pdchr.,
„Docina” — Luczyński Marek, strz.,
„Bolek”,
„Briański”,
„Chłóczyk”,
„Chmura Marek” — Stroiński Zdzisł.,
„Czchanowski” — Polonicki Leszek, st. strz.,
„Cis” — Pogonowski Krzysztof, st. strz.,
„Czapla” — Szafranski Jerzy, strz.,
„Hal’na”, Piasecka Halina, por.,
„Iza” — Wilbikówna Izabella, łączn.,
„Janusz” — Skorski Janusz,
„Jastrzębiec” — Polkowski Janusz, plut. pdchr.,
„Kamila” — Borchczyk Krystyna, san.,
„Krajewski”, „Żano” — Orsagh Jan, strz.,
„Lechnowski” — ppor.,
„Lubomirski” — Wróblewski Teofil, strz.,
„Magda” — Morawska Magdalena, łączniczka,
„Marysia” — Millerówna Maria, san.,
„Mirek”,
„N’na” — Wyleżyńska N’na, ppor.,
„Olszewska” — Smoleńska - Polkowska Halina, sanitariuszka,
„Pobóg”,
„Pogonowski” — Kozłowski Zbigniew, kpr.,
„Rawicz” — Romański Eugeniusz, ppor.,
Schönowa Elżbieta,
Schön Józef,
Solkiewicz,
„Sowiński”, strz.,
„Stach” — Olos Stanisław, strz.,
„Stanisław” — Słowicz Ryszard,
„Stawiński” — Piasecki Zdzisł., strz.,
„Sułkowski” — Tarasiewicz Leon, st.,
„Tepornicki” — Gajcy Tadeusz,
„Turek” — Małaszek Stanisław,
„Tytan”,
„Wanda” — Kurzyńska - Sereżyńska Wanda, łączniczka,
„Wazycka” — Jamont Halina,
„Węglik” — Kondratowicz Jan, strz.,
„Wiarus” — Jasiński Michał Mieczysław, strz.,
„Witold” — Nojński Witold, strz.,
„Zapaleniec” — Andrzej, nazwisko nieznane, strz.,
„Zawadzki” — Kobendza Zbigniew, st. strz.,
„Ziółkowski”, strz.,
„Zygfryd” — Kurzyńska Tadeusz, pdchr.,
„Zółw” — Zaniewski Tadeusz,
18 „Niedźwiedzi”, poległych w Powstaniu Warszawskim, oraz około 350 działaczy konspiracyjnych, łączniczek i żołnierzy „Uderzenia” nieustalonych dotychczas nazwisk.

ZAGNIELI W ANGLII
Barcikowski Józef, lotnik,
Radoński Jan, lotnik.

ZAGNIELENI
„Isia” — Dworzakówna Irena, łączn.,
„Joanna”, łączniczka,
„Marta” — Ziółkowska Jadwiga,
„Ryś” — Stefański Henryk strz.,
„Ulatowski” — Welt Jan, strz.,
„Wroński” — Wyszomirski Jan (?),
„Zbylut” — Prązmo Zbigniew, strz.,

Zamieszczona powyżej lista naszych Poległych Kolegów jest nowotworzeniem tej, która ukazała się rok temu w numerze Zaduszny „Dziś i Jutro”. Wprowadziliśmy do niej zmiany i uzupełnienia, które udato nam się zgromadzić w ciągu minionego roku. Prawdopodobnie nie są one jeszcze kompletne.

Wszystkich Kolegów, Sympatyków środowiska i Czytelników „Dziś i Jutro” prosimy o przesłanie do Redakcji sprostowań, zmian i nowych danych odnoszących się do imion i nazwisk uczestników pracy b. Konfederacji Narodu.

Polegli. Ci, których śmierć w ludzkim mniemaniu, posiadała sens. Tu bowiem rozróżnia się śmierć „mądrą” i „głupią”, „potrzebną” i „zbędną”. A wtedy z bólem myślę o Tobie moich towarzyszach broni.

Jeżeli żołnierz idąc do szturmie padnie rażony kulą lub ugodzony bagnietem, jeśli rozerwie go wybuch granatu czy zmiążdży bomba lotnicza, uczczą go werble żałobnym grzechotem: poległ na polu chwały. A ludzie orzekną wówczas, że zginął śmiertelnie „mądrą” i „potrzebną”.

Śmierć pod gruzami zwałonego domu, na obozowej przyzy, pod murem egzekucyjnym, zgon z głodu, zgon z pragnienia, zgon z zimna, od śmiertelności szczepionki, od bestialskich rąk — to jest śmierć „głupia” i „niepotrzebna” powiadają ludzie. A przecież o jedną szło wówczas sprawę, za którą oddawały życie miliony. Pisano tomy o mecie bezsilności i powolnego konania, a jakże mało o świadomym męczeństwie Oddawano i oddaje się hold ofiarom wrogiemu barbarzyństwa niby zakatowanym niewolnikom, z których przed dokonaniem ostatecznego morderstwa, wydarto wszelką myśl niezależną i uczucie. Ofiara — mówi się z łagodnym współczuciem i żalem. Bez dumy, która zdobi każde zdanie obwieszczonego czyją zgon na polu bitwy. Ofiary Oświęcimia, Dachau, Mauthausen, Ravensbrück i tylu innych zdawały się prostych, geograficznych nazw, dzisiaj wciąż jeszcze wywołujących obraz dymiących komiń krematoriów. Nie chcemy mówić o bohaterach, zastrzelili się ten termin dla brzęku ostróg i furkotu ułaskanych poręczek, których nie zobaczymy już nigdy. Ozdobiliśmy nimi nieprzeliczone masy naszych żołnierzy żywych i umarłych, wiarusów spod Narviku, Tobruku, Moate Casino i Falaise, spod Lenino, Berlina i warszawskie dzieci rzucające się na czołgi, zbrojne w butelkę z benzyną. Ten kult wie wydaje nam się szkodliwy. Niech młode, wzrastające pokolenie wie o bohaterach narodowych, niech uczy się ich cnót bojowych, niech zdaje sobie sprawę z faktu, że przelana krew nie idzie na marne.

Tchórzostwo od bohaterstwa dzieli dosłownie jeden krok. Kiedy padł rozkaz poszli do boju w jednym szeregu: ludzie żywi i granicznicy. Śmierć wyrównała granice moralne, zatarła przeszłość, najhambniejszą nawet, opromieniła wszystkich jednakim nimbem sławy.

Nie było widać sławy za kordami kolczastych drutów. Nie wolno mówić o męczeństwie, jak gdyby ciecile mogli tylko ludzie słabi, jak gdyby było czymś upokarzającym naród, czymś co przemilczeć trzeba wobec potomnych. Walka orężna wymaga przytomności umysłu, zdecydowanego, szybkiego ciosu czy pociągnięcia za język spustowy, zręczności fizycznej i posłuszeństwa dowódcy. Poziom moralny człowieka a żołnierskie morale to dwie różne zupełnie rzeczy. A przecież w ciągu ostatniej wojny toczył się bój nieprzerwany o utrzymanie godności człowieka, Polaka i katolika w każdej chwili i na każdym miejscu. Bój prowadzony aż do ostatka sił, aż do śmierci, aby i ona była symbolem zwycięstwa ducha nad materialną brutalnością.

Osąd historii zaczyna się kształtować w ustach ludzkich.

* * *

W powstaniu przepadła mi cała biblioteka, a razem z nią bibliofilskie zamiłowania. Obecny mój księgozbiór z łatwością mieści się na jednej wiszącej na ścianie półce. Dziwna to trochę kolekcja. Książki, w których szukam Ciebie... Jest tam wszystko niemal co napisano na ten temat. Obok stoją fekturowe teczki: wycinki z gazet: polskich, szwedzkich, francuskich, angielskich. Sprawozdania z rozmów przeprowadzanych na obszarze blisko połowy Europy, fotografie, rysunki.

Mylisz się nie napiszę o tym książce. Nie będę stawiał ze słów, ani z granitu pomnika, który wykuć trzeba

w każdym sercu. Chciałbym po prostu, aby skoro już zwyczaj tego wymaga nie pisano o was, w nekrologach, zamordowani przez wroga, czy „ofiary katowni”, ale zwyczajnie po żołniersku — zginęli za Polskę!

Dzień zaduszny.

Jutro prysnie chwilowy nastrój przygnębienia, nieważne może wydają się dzisiejsze rozmyślania. Przyjdą inne sprawy, ważniejsze, bo dotyczące żyjących, przesłonią swoją treścią wszystko to, co przestało istnieć w naszym świecie namacalnych wyobrażeń i faktów.

Nie wiem jak nazwać ten dziwny klimat wewnętrzny, z którego rodzą się podobne, na pozór jednostronne, zwrócone w pustkę rozmowy. A przecież wyczuwam Twą obecność, gdzieś w nienazwanej przestrzeni. Istnieje

coś, co zmusza do myślenia o Tobie — to chyba Twoje oczy, patrzące jak dawniej, po dziecinnemu, badawczo i ufnie zarazem.

Ból, tęsknota, smutek? Nie. Dziwna jakaś radość. Radość oczekiwania. Radość nadziei, która nie zawiedzie.

Jeżeli możesz, przyjdź mi z pomocą w krzewieniu tej radości wśród ludzi.

Szukają swoich bliskich po dawno zatartych śladach, szukają bezmyślnie po cmentarzach, w ponurych, granicznych z „taedium vitae”, stanach duchowych, urządzają seanse spirytystyczne. Daremnie, coraz silniejsze opada ich zwątpienie i strach.

Czyż mało mają dowodów na to, że śmierć jest bramą, wiodącą do prawdziwego życia? I na tym właś-

nie polega największy tragizm całego zagadnienia. Z jednej strony często głęboka wiara, z drugiej zacięty upór połączony z ponurym lękiem.

Tak, strach stanowi główny czynnik ustosunkowania się ludzkości do zjawiska śmierci. Różne są jego przy czyny. Strach przed nieznanym, strach przed cierpieniem poprzedzającym zgon, strach przed karą za grzechy popełnione na ziemi. Bóg, który widzi wszystkie nasze uczynki, przygotowuje już sprawiedliwy wyrok. I oto rzecz dziwna, człowiek więcej czuje w sobie bojaźni Bożej, niż lęku przed sprawiedliwością, jaką wymierzają tutaj jego bliźni. A przecież właśnie ta bojaźń, niezawodny hamulec naszych postępów, zdolna byłaby wysublimować życie ziemskie do tego stopnia, że z ulgą czulibyśmy

każdy upływający dzień, miset rozpaczając nad zbliżającym się końcem. Każdemu z nas Bóg wyznaczył tu jakieś zadanie; On też określił czas naszego pobytu na ziemi.

Na nic więc wszelkie zuchwałe wysiłki, zdążające do tego, aby człowiek uzyskał władzę nad zasadniczą siłą witalną, aby potrafił czyjeś podtrzymać życie wbrew woli Bożej.

Wiem, że naiwne wydają Ci się moje wywody i dziwisz się; wyjaśniałem Ci niegdyś tysiące drobnych codziennych zawiłości, razem staraliśmy się zgłębić Tajemnicę Życia. Ubiegłaś mnie w tych studiach. Rozdzieliła nas śmierć, ostatnia granica dzieląca człowieka od Boga.

W dzień zaduszny szczególnie gorąco modlimy się za Was, już szczęśliwych.

Jerzy A. Górski

Zygmunt Lichniak

Testament Osterwy

Po ukończeniu dyżuru w redakcji miałem iść do szpitala św. Józefa, aby dowiedzieć się „czego nowego” o zdrowiu Juliusza Osterwy. Nie lubiłem tych zleceń. Staralem się od nich zawsze jakoś wymigać. Miałem bowiem dziwne uczucie, że wkradanie się w cichą biel tego szpitalnego pokoju, gdzie borykał się z chorobą, tęsknił do życia i gasił, było pewnego rodzaju świętokradztwem. Z zażenowaniem i przymusem wypytywałem ściśle konspiracyjnie się siostry o to, jak się czuje, czy ma gorączkę, co sądzi lekarze... A gdy odnosiłem na maszynę kilka, czy kilkanaście wierszy zażganego miłośnicie komunikatu, nie mogłem się pozbyć uczucia winy, zdrady, nie mogłem zwalczyć bolesnego przekonania, że ze swoją konieczną natarczywością reporterką jestem haniebnie śmieszny i mały wobec publicznej tajemnicy tamtych białych drzwi. I nie pomagały ad hoc komponowane usprawiedliwienia. Ze opinia publiczna pragnie, że służba informacyjna wymaga, że zawód nakazuje, itd.

Tak było i tym razem.

Bardziej, niż kiedykolwiek, rozstrojony, nie wiem dlaczego, unikałem smutnych oczu ubranej na białe siostry. Z ulgą odetchnąłem, gdy prosiła, abym usiadł i poczekał. Za chwilę przyjdzie. Pójdzie tylko spytać doktora. Usiadłem, wtulając się w chłodną ciszę szpitalną zabarwioną lekko jakimś ostrym, ale miłym zapachem.

Z uszu oddalał się powoli dygot maszyn rotacyjnych, odpływał w głąb hałas ulicy.

* * *

Z przezroczyściej ciszy wyłonił się tamten dzień z Osterwą.

Początek listopada ubiegłego roku. Kraków. Gołębia 20. Odgłos kroków głuszy mgłą. Siąpi plakiwy deszcz. Pierwsze piętro. Pierwsze drzwi na lewo. Duża sala. Pełna. Jeden z wielu zjazdów akademickich. Niedziela. Godzina dziesiąta. W programie — dyskusja o teatrze. W pierwszym rzędzie dystygnowanych ław krakowskiego uniwersu — goście. Osterwa zajęty był żywą rozmową z Pigoalem. Profesor potakiwał. Masywnie sklepiona, rzymska czaszka odbija anemiczne promienie jesiennego słońca. Przyłączył się do rozmowy i Szaniawski. Zdaje się, że omawiali wczorajszą premierę „Orfeusza”. Głosy ich tonęły w ogólnym szumku akademickich pogwarków. Za stołem pojawił się prelegent, mający zagać dyskusję. Ucisnęło. Osterwa zasunął brodę w biel jedwabnego szalika, oparł się wygodnie o poręcz ławy, brwi spał pionową zmarszczką zasłuchania. Obserwowałem go przez cały czas dyskusji. Widać było w jego twarzy bolesne niemal skupienie. Na pewno nie uromił ani słowa. A słów padało wiele. Z charakterystycznym dla młodych zapałem i tu-

petem rozprawiano o wielkim repertuarze o rzeczowej krytyce teatralnej, o wadliwej metodzie wygrywania sztuk do końca, projektowano rezolucje w sprawie ulgowych biletów i darmowych przedstawień. Dyskusja dogorywała we wnioskach natury formalnej, sztywniała w oficjalnych zsumowaniach.

Osterwa drgnął i wstrząsnął się lekko, jak gdyby było mu za zimno w elegancko skrojonej, granatowej jesionce. Gdy nikt już dyskusji nie podtrzymywał poprosił Osterwa o głos.

Podszedł do stołu i zwrócił się twarzą ku audytorium. I już tą twarzą dużo powiedział. Wielka powaga i przedziwny smutek w bruzdach zmarszczek kolo ust, twarde oczy i gorzkawe wygięcie warg, zapowiadały słowa większe, niż na zjazd, słowa, których nie można zapominać, bo mają swoją wagę historyczną i nieprzemijalny sens.

Mówił Osterwa głosem spokojnym, choć widać było, że coś się w nim burzy.

— Proszę państwa, w czasach, które nadchodzą, panuje i będzie panował Duch Zespołu. Skończyły się już dni, kiedy porwy i zapał jednostek

mógł mieć wpływ zasadniczy na kształtowanie się naszego życia. Obecnie jego zadania są cięższe, przerastają siły nasze największego entuzjazmu indywidualnego. Trzeba się porozumiewać, łączyć, aby móc czegoś dokonać. Trzeba zrozumieć i uznać Ducha Zespołu.

Nawiązał bardzo zwięźle do porozumienia widzów, miłośników teatru, z artystami ludźmi teatru.

— To porozumienie jest rzeczą ważną, jedną z najważniejszych, jeśli chodzi o przyszłość naszej sztuki sceniczej.

Objął twarde, gorącym spojrzeniem zapatrzonych w niego słuchaczy i przyłożył dłoń do czoła, jakby chciał z niego zetrzeć coraz intensywniejszy i spływający na gładko wygolone policzki rumieniec. Już teraz nie tał się z ogarniającym go coraz bardziej wzruszeniem.

— Rozprawialiście państwo dzisiaj o takim czy innym repertuarze, o cenach biletów, o zniżkach. To nieważne. To będzie. O tym tu nie należało mówić. O teatrze tak mówią pogańcy. Ważne jest to, żebyście nas zrozumieć, z nami umieli cierpieć i z nami żyć. Wejść w nas — uderzył się

w pierś — tu wejść i zrozumieć. To jest ważne i o tym powiniemy dzisiaj rozprawić.

Mówił coraz goręcej. Zapalił się. Chodził, gestykulował. Podkreślał ruchami i mimiką swoją myśl.

A stanęła ona przed słuchaczami rozplamiona oburzeniem i zobowiązująca swą wyrazistością.

Trzeba uznać w artyście jego umiłowanie dla sztuki, pojąć jego twardą a piękną służbę, pamiętać jego rolę nie tylko wtedy, gdy je gra, ale ustawić je w galerii pamięci, jak stworzone przez niego posagi. U młodzieży polskiej, u Polaków w ogóle takiego zrozumienia jeszcze nie ma. A powinno być. Kulturze teatralnej tego potrzeba. Artysty tego potrzeba. Nie jest to głód poklasku, dążenie do laurów do taniej sławy. Jest to tęsknota do właściwego klimatu teatralnego, który zapewni wielkim talentom stały rozwój, który nie pozwoli, aby iskry młodych talentów miały gasnąć w mroku obojętności.

Gestykulacja Osterwy stawała się coraz żywsza. Coraz częściej podnosił głos i oczyma skuwał zniertuchomiałe w zasłuchaniu głowy. Jakaś studentka z Poznania wionęła mi w ucho pytaniem:

— Gra?

Odpowiedziałem ruchem warg:

— Gra. Osterwę.

Artysta zamilkł na chwilę. Biały szalik falował. Głos stał się cichy, donośny i miękki.

— Tak, proszę państwa. Gdybym miał wskazać wam najważniejsze w tej chwili dla was zadanie, najbliższy cel w dziele podnoszenia teatru polskiego, to wołałbym przede wszystkim o porozumienie z nami. Przychodźcie do nas, patrzcie na naszą pracę, pogłębiajcie swój do niej stosunek, uczcie się nas, naszych pragnień i zapału, naszej tęsknoty i ukochania.

Wszyscy rozumieli, że w tym, co mówi, nie ma nadętej gloryfikacji trudu i wysiłków aktora, nic z „de sto ipso ad posteritatem”. Wszyscy uchwycili wyraznie jego myśl. Ważne jest przede wszystkim, aby pracę artysty otoczył głębokim zrozumieniem i szczerem uwielbieniem, aby zapewnić jej atmosferę przyjaźni, rozwoju, lotu.

— Cóż z tego — ciągnął Osterwa — że krzyczymy o wielkich zainteresowaniach, dźwigamy z gruzów stara gmachy, ustawiamy w nich coraz więcej krzesel. W krzesłach tych muszą bowiem zasiąść ludzie, którzy kochają to poco przyszli, rozumieją wołanie ze sceny, rozumieją scenę...

Rozpiął jesionkę i rozluźnił szalik. Nad zasłuchaniem sali popłynął rozszafowany w tym krótkim przemówieniu wiersz:

„O, gdybym jedną kaplicę zobaczył,
Choćby, jak pokój ten, wielkości

[takiej],
Gdzieby się polski duch raz
[wytłumaczył,
Usymbolicznął rozkwitłymi znaki...

Wiersz Norwida nabrzmiewał w w każdym słowie Osterwą.

„Gdzieby kamieniarz, cieśla, mularz,
[sznycarz,

Poeta, wreszcie męczennik i rycerz.
Odpościł w pracy, czynie i modlitwie.

I jasnym było, że najwzniejszą, najwyraźniejszą kwintesencję tego, co chciał powiedzieć znalazł Osterwa w tym urywku „Promethidona”.

* * *

Siostra zjawiła się, jak biały cień. Przeprasza, że tak długo kazała czekać, ale właśnie doktor był u niego.

— Niech panowie napiszą, że jest... to znaczy... będzie dobrze... Nie udawało się jej to kłamstwo miłosierdzia. Nie usiłowała go powtarzać. Szeptem strząsnęła z warg prawdę: — Jest źle, bardzo źle... Ale o tym, pan rozumie...

Nie pisałem.

W kilka dni później gazety doniosły o śmierci Wielkiego Artysty. Przypominając sobie owe szpitalne wspomnienia ze zjazdu, podświadomym nawykiem nakreśliłem nad nimi tytuł: Testament Osterwy.

Zygmunt Lichniak.

Za spokój Duszy

ś. † p.

żołnierzy zgrupowania ppłk. Radosława

Żołnierzy Armii Krajowej

poległych w Konspiracji i powstaniu Warszawskim odprawiona zostanie Msza św. żałobna w dniu 1.XI. 1947 r. o godz. 9-ej w Kościele Św. Krzyża (Krakowskie Przedmieście) o czym zawiadamiają:

RODZICE I KOLEDZY

ZA SPOKÓJ DUSZY

ś. † p.

ŻOŁNIERZY I OFICERÓW A. K.

grupy operac. „ROG”

Baonów: Bończa, Gustaw, Konrad, Krybar, Wigry, WSOP. — Dzik

Poległych w czasie konspiracji i powstania warszawskiego na Starym Mieście, Powiślu i Śródmieściu, w bohaterskich walkach z najeźdźcą niemieckim, odbędzie się uroczyste nabożeństwo żałobne dnia 1 listopada 1947 r. o godz. 9-ej rano w kościele Św. Jacka — OO. Dominikanów na Starym Mieście (ul. Freta), na które zapraszają Rodziny i Przyjaciół poległych

POZOSTALI PRZY ŻYCIU KOLEDZY

W kraju...

KURS DLA SĘDZIÓW
W najbliższym czasie w Łodzi zostanie uruchomiony kurs dla sędziów. Będzie to pierwszy tego rodzaju eksperyment w polskiej historii sądownictwa. Dotychczas Ministerstwo Sprawiedliwości zorganizowało 3 krótkoterminowe (8-miesięczne) kursy dla prokuratorów. Według oświadczenia ministra Świątkowskiego rezultaty egzaminów młodych adeptów na prokuratorów były zaskakujące. Jest to tym dziwniejsze, że kandydaci na owe kursy byli wskazywani przez partie polityczne, organizacje społeczne i związki zawodowe, zaś cenzus naukowy nie był brany pod uwagę. Decydował jedynie egzamin wstępny. Obecnie absolwenci stanowią 10% stanu prokuratury. Wobec uruchomienia szkoły prokuratorskiej we Wrocławiu i zamiaru uruchomienia podobnej w Gdańsku należy się liczyć ze znacznym wzrostem liczby młodych prokuratorów już w niedługim czasie. Kurs dla sędziów jest planowany na identycznych warunkach, z tym że będzie trwał o dwa miesiące dłużej. Chcemy wierzyć oświadczeniu min. Świątkowskiego, że powyższe eksperymenty są traktowane jedynie „jako konieczność przejściowa” i, że „z chwilą zniknięcia przyczyn, które powstania tych kursów wywołały, przedziwny wyłącznie do normalnego szkolenia uniwersyteckiego”. W wywiadzie udzielonym korespondentowi „Głosu Ludu”, minister sprawiedliwości jako dwie zasadnicze przyczyny przyspieszonej akcji szkoleniowej, podał fakt przetrzebienia szeregów sądownictwa w okresie okupacji oraz konieczność poważnych zmian w składzie aparatu sądowego w duchu jego demokratyzacji.

SKODLIWE KLASYFIKACJE

O pewnego czasu daje się zauważyć w prasie zablokowanej systematyczny atak na osoby wysoko postawione w hierarchii kościelnej i na katolickich publicystów. Prym w tej akcji dzierży niejaki A. K., publicysta „Głosu Ludu”. Klęska MRP w francuskich wyborach samorządowych dała temu ostatniemu ponowną okazję do udzielania wskazówek „demokratycznym działaczom katolickim którzy szczerze wierzyli, że można realizować demokrację, izolując się od obozu robotniczego i balansując między dwoma biegunami. Te „dwa bieguny” to zdaniem p. A. K. imperializm amerykański i bliżej nieokreślony obóz robotniczy. Więc chyba marksizm. Nie rozporządzamy w tej rubryce dostateczną ilością miejsca żeby pouczyć p. A. K. o katolickiej doktrynie społecznej, która jest co najmniej tyle odległa od marksizmu ile od kapitalizmu czy liberalizmu.

Działalność polityczna ludzi używających słusznie szaczonego miana „katolickich działaczy społecznych” jest wyłącznie poddyktowana interesem Polski i Kościoła.

Jakiegokolwiek sugestie usiłujące wpro- wadzić sztuczne linie podziału muszą być wyraźnie napiętnowane jako sprzeczne z interesem Państwa składającego się w ogromnej większości z katolików oraz przeciwstawiając intencjom Rządu przewidującego aktywny współdziałanie w dziele odbudowy tychże „demokratycznych działaczy katolickich”, których p. A. K. rządzi instruuować.

**Za spokój dusz
ś. † p.
poległych działaczy K. N.
i Żołnierzy „Uderzenia”**
odprawiona zostanie w poniedziałek, dnia 3 listopada o godz. 9.30 Msza Św., w kościele Matki Boskiej Zwycięskiej na Kamionku, (ul. Grochowska) przed Wielkim Ołtarzem.
O czy zawiadamiają
KOLEDZY

Twórczość ks. Jakubisiaka poświęcona była wyłącznie filozofii, jeśli nie liczyć zbioru krótkich, lecz głębokich i treściwych komentarzy do Ewangelii św. Lecz filozoficzna jego nauka nie mogła być oddzielona od życia praktycznego, całkowicie poświęconego pracy duszpasterskiej.

Zycie to było ewangeliczne, utrzymanie księdza, jak mi to mówił, oparte było na jałmużnie, a praca około dusz gorliwa i owocna. Pełnił on funkcje kapelana więzień paryskich i towarzyszył wielu skazańcom w drodze na szafot. Oprócz zbrodniarzy interesował go głównie filozofowie i w ogóle intelektualisci, na których też wywierał dobroczynny, a głęboki wpływ. Wielu pisarzy ma mu niemało do zawdzięczenia. W tej chwili przychodzi mi na myśl zwłaszcza nieodżałowany, najpiękniejszy chyba duchowo z pisarzy mego pokolenia, Miciński, który umarł na rękę ks. Jakubisiaka po długiej serdecznej z nim przyjaźni.

Otóż filozoficzna myśl tak prawowiernego kapłana katolickiego nie mogła nie być równie ortodoksyjna, jak życie. Natchnienie, myśl przewodnią do swej twórczości, wziętą on z Objawienia chrześcijańskiego, w którym Bóg jest Osobą o nieskończenie bogatej indywidualności, która działa, jak Jej się podoba. Bóg z Genezy, to artysta, wykańczający każdą rzecz osobno, inaczej, niż inne, dający każdej indywidualność, a po skończonej pracy oglądający z upodobaniem swe dzieła. Chrystus z Nowego Testamentu umiera nie za ludzkość w ogóle, ale za każdego poszczególne człowieka, z którym nawija się specjalny, dla każdej indywidualności właściwy a odmienny stosunek miłości. Indywidualność, odrębność rzeczy są tak podstawowe w Objawieniu, tak istotne, że zaprzeczenie ich jest równoznaczne z odrzuceniem Pisma św. Toteż myśl filozoficzna chrześcijan zawsze utrzymywała odrębność, niezależność rzeczy.

Dlatego ks. Jakubisiak odrzuca metafizykę pogańskiego filozofa, a tworzy nową, własną (patrz poprzednie artykuły, zwłaszcza „Ontologia u Jakubisiaka”, „Dziś i Jutro” Nr. 20 (77), która już wolna jest od wszelkich sprzeczności. Tworzy ją z oczywistości. Stąd u Jakubisiaka mamy rewelacyjne połączenie Objawienia z najnowszą nauką. Tak, właśnie! To, co było uznane — a i dotąd przez wielu nieświadomych jest uznawane za sprzeczność, to Jakubisiak łączy w jedno.

Przyrzycimy się pobieżnie tej ontologii. Nieciągłość bytu. Nie ma bytu, tylko byty. Indywidualność. Każda rzecz ma swoją własną istotę i naturę. Istotą rzeczy jest liczba. Dlaczego? Cóż to jest istota rzeczy? Jest to jej plan, koncepcja, wewnętrzna budowa. A istotą każdego planu jest bezsprzecznie liczba. Bo coż to jest liczba? Wielokrotność danego elementu, proporcja. Wszelki plan jest układem elementów proporcji. Czyli istota rzeczy to jest pomysł, konstrukcja umysłowa, która tworzy wewnętrzną formę danej rzeczy. Każda rzecz dlatego jest inna, że każda jest oddzielnym, oryginalnym pomysłem Boga. Tu leży tajemnica indywidualności, dzięki której każda rzecz ma własne, odrębne od innych rzeczy własności, prawa, swoje miejsce, swój czas, swoją wolność, rozumianą zresztą w całej bezwzględności, bo jak każdy plan, istota rzeczy ma swoje granice, które znów rozumiane są w całej bezwzględności. Całe wyjaśnienie rzeczy mieści się w jej wnętrzu — istocie.

Ta obrona, uznanie, podziw dla indywidualności jest czymś nowym w filozofii. Jest to sprzeczne z bezbożnym monizmem. Sprzeczność ta rozciąga się na wszelkie dziedziny. Obejmuje również teorię poznania, która u monistów w swej metodzie używała coraz wyższych stopni abstrahowania i uogólnienia, co zwy-

Zygmunt Jakimiak

Światopogląd ks. Jakubisiaka

rodniało w logistykę, która sama jałowa w treści, odrzuca nawet słowa, zawierające bądź co bądź ślady konkretności, a więc indywidualności. Wprowadzając na ich miejsce szczyt abstrakcji — symbole.

Jakubisiak wraca do konkretności, podkreśla w rzeczach to, co je różni, a nie to co je upodabnia. Dotychczas nikt tak w filozofii nie podkreślał znaczenia indywidualności, jak Jakubisiak.

Można temu światopoglądowi postawić zarzut i czasem się stawia, że indywidualizm to anarchia, a więc wielkie niebezpieczeństwo. Owszem, niebezpieczeństwo tkwi w każdym poglądzie. Najwięcej może niebezpieczeństw tkwi w Piśmie Świętym. Ileż to sekt powstało z tej książki, ile dziwactw, zgorszenia! Indywidualizm Jakubisiaka jest katolicki. A więc polega on na przyjaznym uznaniu indywidualności, na pozytywnym do niej stosunku, by przez najlepsze jej poznanie i współpracę z nią, pomóc jej najskuteczniej w rozwoju dla największego jej i społeczeństwa pożytku. Szacunek i miłość wobec indywidualności — oto co się należy stworzeniu Bożemu. Samowola zaś, anarchia, to niebezpieczeństwa indywidualizmu mają swój hamulec w nauce o granicach. Indywidualność nie jest Bogiem, ale stworzeniem. Jest ograniczona we wszelkich kierunkach zupełnie, nie tylko przez inne indywidualności, ale głównie przez samą siebie. Autodeterminizm nie tylko kieruje jednostką i określa w pewnym ogólnym i szczególnym kierunku, ale i ogranicza ją samą. Właściwość odrębna są zarazem granicami. W ten sposób mamy światopogląd oparty o prawdę, bo o logikę i oczywistość. O ile jest to zgodne ze świecką nauką? Była ona przecież uznana za wroga Objawienia, ostatecznego monizmu. Determinizm w fizyce, ewolucjonizm w biologii, skrajna abstrakcyjność w matematyce i geometrii, wszystko to były bastiony światopoglądu, przyjmującego ciągłość bytu, w którym nie ma miejsca na jednostkę.

Poglądy podobne panowały jednak w nauce, gdy znajdowała się ona dopiero w pierwszych stadiach swego rozwoju. Za życia jednak Jakubisiaka nastąpiły odkrycia, świadczące przeciw monizmowi. Np. w fizyce. Tylko jedna jej gałąź nie poddawała się nigdy absolutyzmowi determinizmu. Była to mechanika statyczna, która nie mogła stosować do indywidualnych zjawisk materii deterministycznej metody równań różniczkowych. W pozostałych jednak gałęziach, szczególnie w termodynamice, elektrodynamice i klasycznej dynamice Newtona panował wszechwładnie determinizm, głoszący ciągłość i zmienność, zarówno przestrzenną, jak czasową zjawisk fizycznych. Dla podtrzymania i objaśnienia tych twierdzeń wymyślano najfantastyczniejsze hipotezy. Fizycy np. święcie wierzyli w konieczność głoszenia, że światło rozchodzi się za pośrednictwem fali, to jest, że taka konkretna rzecz, jak energia rozchodzi się po czysto abstrakcyjnej linii. Wierzyli też w wymyślony przez Kartezjusza eter, pełen sprzecznych właściwości, który służył za środowisko dla ciągłych zjawisk materii. Już jednak od dość dawna wielu fizyków buntowało się przeciw determinizmowi, bezsilnemu, gdy chodziło o zetknięcie się z konkretem. Wyrazem tej reakcji była przede wszystkim teoria względności Einsteina, która umiejscowiła świat w przestrzeni ograniczonej i niejednorodnej, zróżnicowanej w każdej części obecnością pola grawitacji. Teoria ta nie jest czystą hipotezą. Doprowadziła ona do odkryć nowych

zjawisk, np. zbieżności promienia na obwodzie słońca. Przewidziała ona zjawiska stwierdzone w zaćmieniu słońca (29 maja 1919 r.). Przestrzeń więc Einsteina jest nieciągła. To samo jest z czasem. Teoria względności przyjmuje czasy różne, jednocześnie, stające się następstwami i odwrotnie przy przejściu z jednego systemu odniesienia do drugiego. Świat w tej teorii, mimo jej sprzeczności z determinizmem jest doskonale logiczny, zwarty, sprawdzalny, doświadczalny.

Jeszcze poważniejsze zaprzeczenie monizmu znajdziemy w teorii kwantów. Mielimy kilka artykułów w polskiej prasie, bardzo prosto i przejrzysto tłumaczących jej twierdzenia. Był między innymi artykuł p. prof. Rayskiego w „Problemach”, był artykuł p. prof. Piekary w tymże piśmie, również „Tygodnik Powszechny” wydrukował artykuł p. Rayskiego traktujący o materii w fizyce. Już choćby z tych wypowiedzi można nabierać pojęcia o tej teorii. A więc energia świetlna rozchodzi się grudkami, skupieniami, co na pozór sprzeczne jest z teorią falową, mimo że oczywiście wielu zjawisk przemawia i na korzyść tej ostatniej. Ale teoria kwantów ma również, jeśli nie bardziej oczywiste potwierdzenia doświadczalne.

Podstawą mechaniki klasycznej było deterministyczne mniemanie, że znajomość początkowych warunków danego systemu i fizycznych praw jego rozwoju pozwala nam ściśle obliczyć późniejsze zmiany systemu w każdej chwili. I tak, znajomość położenia i szybkości jakiejś cząstki materialnej, to w danym polu sił miałyby nam pozwolić obliczyć ściśle położenie i szybkość tej samej cząstki w jakimkolwiek czasie późniejszym — to, t₁, t₂... tn. Wprawdzie praktycznie nigdy to się nie zgadzało nawet w makrokosmosie. Mimo najlepszych obliczeń balistyki pocisk nigdy nie trafia w obliczony punkt. Ale w świecie rzeczy wielkich niedokładność była zawsze uważana za *une quantité negligible*.

Dopiero w świecie rzeczy małych, w tak zwanym mikrokosmosie niedokładności tej nie można było pominąć. Stąd się wzięła słynna zasada nieoznaczoności Heisenberga, o której pisał i p. Piekara i p. Ray-

ski. Heisenberg dowiódł i matematycznie określił, że nie da się jednocześnie oznaczyć położenia i szybkości cząsteczki materialnej, ani wyznaczyć jej ruchu według ścisłych praw. Żeby bowiem określić współrzędne i ilość ruchu danej cząstki, trzeba wziąć pod uwagę wzajemne oddziaływanie, jakie zachodzi między tą cząstką a światłem zewnętrznym łącznie z obserwatorem. Aby np. oznaczyć położenie elektronu należy go oświetlić. Otóż z chwilą, gdy grudka światła, to jest foton, dotknie elektronu, następuje zakłócenie ruchu elektronu. Jest to tzw. zjawisko Comptona, oznaczające nieciągłą zmianę ilości ruchu elektronów. To nieciągłość jest odwrotnie proporcjonalna do długości fali oświetlenia i do stopnia ścisłości określenia położenia elektronu.

Ale to za trudny język! W każdym razie zasada nieoznaczoności głosi, że dokładność określenia położenia ogranicza stopień dokładności określenia szybkości i odwrotnie. Jeśli mniej więcej dokładnie określimy położenie, to szybkość nie da się równie dokładnie oznaczyć. I odwrotnie. Oznacza to indeterminizm, co wykażeł p. Piekara. Cząsteczka „wybiera” między kilkoma możliwościami swego ruchu. Może się pojawiać tu czy tam. Ale skoro już wybrała jedno położenie, wtedy wyczerpuje jedną ze swych możliwości. I wtedy też liczba ich da się określić.

Właśnie dla symbolicznego przedstawienia zespołu możliwych położzeń i możliwych stanów ruchu cząsteczki przypisuje się jej fale. To właśnie uczynił francuski fizyk, książę Ludwik de Broglie. Według niego wszelkiej cząsteczce towarzyszy fala, a wszelka fala przewodzi ruchowi jednej lub kilku cząsteczek. Stąd pochodzą efekty falowe (interferencja, uginanie itp.), obserwowane wraz z efektami kwantowymi. Nie może być sprzeczności między kwantem, który jest treścią, energią czy materią, czy jednym i drugim — a falą, która jest tylko formą, abstrakcją, wyznaczającą prawdopodobieństwa obecności (tak rozumiem „fale prawdopodobieństwa” p. Piekary). Czyli zespół możliwych położzeń cząstki materialnej ruchu, położzeń, które się nie dadzą opisać w zwykłych ramach czasowo-przestrzennych. Fala tylko

Serce Warszawy

„Kościół św. Jana z kaplicy zamkowej książąt Mazowieckich na parafialny w XIII wieku zamieniony. Roku 1370 przez Jantusza I ks. Mazowieckiego do dzisiejszych rozmiarów rozszerzony. Roku 1402 przeniesiona z Czerska kapituła i tytułem kolegiaty ozdobiony. Roku 1797 do godności kościoła katedralnego podniesiony. Roku 1817 Metropolitalnym zamianowany”.
Prosta tablica i takież słowa, lecz wzrok jakby przykuły głębią treści, biegnie ku niej znów. Zda się, wystarczy przytknąć jeno oczy, a historia Katedry jak żywa, przesuwać się poczyni przed nimi. Bo nie było chyba drugiego miejsca w stolicy, które by tyle pamiętek ubiegłych wieków, do lat ostatnich przechowało. Każdy pomnik wewnątrz, każda tablica na ścianie, to osobne rozdziały wielkiej księgi, której tytuł brzmiałby „Dzieje Narodu Polskiego”.
Pierwszym rozdziałem, jakiesz znamienitym, to są delegatów papieskich, który w XIII wieku, w murach Katedry, bezprawia krzyżackie miał ukroczyć.
Do Jej murów, ostatnich Piastów na spoczynek wieczny uroczystie składano, przyozdabiając marmurowymi pomnikami grobowce.
Tutaj gromousty książę Skarga, w proroczym natchnieniu, wzywał do

opamiętania brać szlachecką i senatorów, ukazując w genialnych kazaniach chyłą się ku przepaści Rzeczpospolita.

Tu lud pamiętnego ranka majowego spieszył, by dziękczynnym „Te Deum” Bogu za Konstytucję podziękować.

Tutaj wreszcie złożono drogie Narodowi szczątki Henryka Sienkiewicza, sprowadzone ze Szwajcarii. Również I prezydent Polski G. Narutowicz tutaj spoczywa snem wiecznym.

Sama Katedra była kilkakrotnie w historii swojej przebudowywana, przy czym każde pokolenie przyozdobić chciało ją godnie.

I tak wielki ołtarz fundował Zygmunt III. Dwie galerie dla muzyki, po obu stronach prezbiterium, sumptem własnym wystawił Władysław IV. A stallami pod nim, ozdobił prezbiterium, Jan III Sobieski. Tutaj też antepodium rzeźbione ufundowali po powstaniu chłopów polscy. Już w opisach Jarzębskiego z połowy XVII w. znajdujemy: iż „kościół farski jest nadobny, wielki w ołtarze ozdoby... tam królewskie bałdachy rozciągają się na chrzciny. Tam jest ganek dla królestwa, gdzie Panu Bogu się sprawują, modły odprawiają...”.
Liczne obrzędy koronacyjne i

wobec nauki i objawienia

Wypełnia braki naszych pojęć czasu i przestrzeni.

Z tego wszystkiego wynika, że ciągłość (continuum) jest tylko w ludzkiej wyobraźni. W świecie rzeczy jest nieciągłość, to jest odrębność. Ale coś z postulatami stałości i niezmienności? Ewolucja, w ujęciu Darwina, a w rozumieniu niektórych dzisiejszych jeszcze polskich uczonych, przeczy tym postulatami. Głosi ona jedną ograniczoną całość życia natury. Świat życia tak bogaty i różnorodny na pozór, powstał z jednokomórkowego pierwotniaka. (Pochodzenie człowieka od małpy jest tylko szczegółem, obrazowym i wyrazistym tej teorii). Są tacy jeszcze, którzy w tę teorię wierzą, mimo tego, że przeczy ona podstawowym prawom logiki, jak prawo tożsamości, sprzeczności i wyłączonego środka. Czy człowiek jest małpokształtny, czy małpa jest czelakształtna, w każdym razie oczywistość (skąd pochodzą właśnie prawa logiki wydobyte z niej ludzkim umysłem) poucza nas, że małpa jest małpa, a człowiekiem człowiekiem i małpa nie jest człowiekiem (sąd sprzeczności) i odwrotnie. Ale ewolucjonści uznają te sądy tylko warunkowo. Obowiązują one według nich tylko na pewien okres czasu. Ewolucja bowiem ma działać tak wolno, że aż niedostrzegalnie i w taki sposób np. małpa zamieniła się w człowieka. Ani ona się nie spostrzegła, kiedy stała się człowiekiem. Ani człowiek się nie spostrzegł, że już nie jest małpą i obraża się, gdy go tak nazwał. Otóż taka powolność przemiany wymagałaby przecież typów przejściowych. Właśnie tego tertium, które według logiki, non datur. Powinniśmy znać takie małpy, które są już w małym procencie ludzi, w większym i w coraz większym, ażbyśmy doszli do ludzi, którzy byliby w coraz mniejszym stopniu małpami. Tymczasem nie takiego nie ma. Eskimos czy Buszmen, to pełni ludzie, często o wyższej inteligencji od nowocześniejszych uczonych. A małpa każda jest też tylko czystą małpą. Czyżby typy pośrednie zaginęły? Katastrofalne? Prawda, coraz to z triumfem publikuje się rysunki człowieka, który jeszcze jest małpą, ów typ pośredni z jakiejś tam epoki. Rysunek taki, niby jakiegoś wykopalisko jest w gruncie rzeczy artystycznym tworem jakiegoś uczonego, który na podstawie np. jednej kostki napięstka,

którą nie trudno znaleźć, rekonstruuje całość. Rekonstruuje!!! Oczywiście w taki sposób, żeby wypadło coś pośredniego między małpą a człowiekiem. Potem publikuje to, a czytelnicy wierzą, że tak było naprawdę, zamiast poprzestać tylko na podziwie dla kompozycyjnych zdolności uczonego prehistoryka.

Zadne fakty, mimo usilnych poszukiwań, blisko stuletnich, nie świadczą za ewolucją. Przeciwnie, poszukiwania te, podobnie jak w fizyce, dały podstawy do stworzenia teorii, zaprzeczających ciągłości biologicznej. Ze wspomnę teorię preadaptacji L. Cuenot'a. Teorię mutacji H. de Vriesa, mendelizm, który praktycznie stosuje się do ulepszenia hodowli roślin i zwierząt.

Badania najnowsze w biologii dowodzą więc nieciągłości rzeczy stałości, niezmienności jednostkowej, potwierdzają, jak i w fizyce, autodeterminizm. Ewolucjonizm to dziś naiwne bajki. Wracamy w biologii, choć otwarcie uczeni nie chcą tego jeszcze przyznać, do wiary Linneusza, że tot sunt species in natura quod creavit ab ipso initio infinitum eius.

A nauki matematyczne? Przecież są one ostoją abstrakcji, tak bardzo służącej monizmowi. Taka geometria Euklidesa, nauka o wymyślonych kształtach jakich w naturze nikt nie znajdzie za żadną nagrodą! Otóż w naszych czasach mamy inne geometrie, np. Riemana, Łobaczewskiego, którzy przejęli inne pewniki niż Euklides, pomyśleli figury nie na płaszczyźnie, ale na innych powierzchniach i otrzymali inne potwierdzenia. Z punktu widzenia światopoglądu księdza Jakubisiaka, a więc oczywistości, jest tyle geometrii, ile jest rzeczy, bo każda rzecz ma inną powierzchnię i inne kształty. Stąd niewspółmierność i niewspółczesność. Matematyka zaś to według ks. Jakubisiaka nauka przyrodnicza. Liczba jest przecież istotą rzeczy, a więc tkwi w konkrety i choć jako twór czysto umysłowy jest dostępna tylko inteligencji, nie zmysłom i stąd poznajemy ją tylko jako abstrakcję, to niemniej poznajemy ją w rzeczach — w naturze. Proporcje, wielkości, stosunki, jakie zachodzą w strukturze jednostki, między jednostkami — oto przedmiot matematyki. Jak naiwny był Kant, gdy twierdził, że liczba jest tworem ludzkiego umysłu. W tym

wypadku nie trudno byłoby ją zbadać, tymczasem matematyka, to jeszcze dziewicza puszcza. Wiele działów pozostaje, wiele jest niezbadanych. Są działy wyższej matematyki, np. teoria kongruencji, która bada liczby całkowite. Otóż matematyka zawiera fakty, przemawiające przeciw ciągłości. Zaden ciąg liczb nie jest ciągły. W szeregu liczb naturalnych są luki, oznaczone tzw. liczbami niewymiernymi. Pierwiastki z pewnych liczb (np. z 2, 3 itp., ułamki okresowe itd.) oznaczają te przerwy w ciągu liczb, przerwy dość częste. Liczby niewymierne, odpowiadające czasem jakimś konkretnym stosunkom, np. sławne π to stosunek obwodu koła do jego średnicy. Więc liczby niewymierne, to liczbowy wykładnik niewspółmierności geometrii. A więc i nauki matematyczne przemawiają za ciągłością rzeczy i są niejednokrotnością. Świat w najnowszych badaniach okazuje się kompleksem jednostek, różniących się tajemniczymi niedociecznymi właściwościami. O jednostkach można powiedzieć ogólnie to, co któryś teolog powiedział o duszach, że są incomunicabiles.

Ogólnie można powiedzieć o światopoglądzie Jakubisiaka, że widzi on rzeczy przestrzenne. Miejsce integralne jest fundamentem działania jednostki. Na nim to jednostka osiąga właściwe swoje cele właściwymi sobie środkami. Ogół tych miejsc jednostkowych stanowi przestrzeń, która jednak, należy to podkreślić, nie ma nic wspólnego z przestrzenią abstrakcyjną, tworem umysłu, o jakim mówił Kant, która jest nicością. Może jest owa „materia prima” Arystotelesa, z której Bóg stwarzał rzeczy? Pożytek możemy tylko wyciągnąć z poznania przestrzeni konkretnej. Otóż ta przestrzeń przypomina mi obraz rozwinięty przez Prusa w „Emancypantkach”, kiedy prof. Dębicki przedstawia Madzi wszechświat, w którym planety, krążąc po innych torach, pozostawiają ślady swojego przejścia. Osoby zaś i rzeczy żywe również swym działaniem tłumaczą swe drogi, tak że wszelki ruch, nie tylko ciała, ale i myśli, jest na tej drodze utrwalony. W innym, przyszłym świecie każde życie będzie mogło być stąd odczytane. Nie wiemy, czy Prus wpłynął na Jakubisiaka.

Otóż i Jakubisiaka historia świata

i ludzkości, to obraz nie na płaszczyźnie wprawdzie, ale w przestrzeni i to o wymiarach liczniejszych, niż dostępne naszym słabym możliwościom zmysłowym, Stosunki miejsc integralnych jednostkowych i społecznych. Stosunki działań, krzepiących się wzajemnie na tych miejscach, splatające się wzajemnie, w których indywidualność zawsze jednak pozostaje sobą, mimo wszelkich wpływów zewnętrznych, społeczne wypadkowe tych działań jednostkowych — oto ogólny obraz historii ludzkości. Punktem centralnym tego obrazu jest indywidualność Chrystusa. Ku Niemu kierują się jednostki i społeczeństwa, przed nim i po nim. On jest ostatecznym celem jednostek. Chrystus jest ośrodkiem historii ludzkości. Nie był, nie będzie, ale właśnie jest. Bo czasu w znaczeniu absolutnym nie ma. Jest tylko następstwo działań u ograniczonych stworzeń, o czym pisałem w poprzednich artykułach. Nie ma czasu stworzonego specjalnie przez Boga dla doczesności. Są tylko nieporadne stosunkowo stworzenia, które nie mogą jednocześnie wszystkiego, ale w kolejności. Jest to kwestia logiki, nie chronologii. Gdyby istniał czas absolutny, wówczas przyszłość nie istniałaby. Nawet Bóg nie mógłby jej znać. Tymczasem przyszłość istnieje, biorąc rzecz z punktu widzenia absolutnego. Nawet z punktu widzenia nauki, nie religii. Gdyby istniał taki uczonec, któryby znał wszystkie warunki, zewnętrzne i wewnętrzne, wszystkich systemów, ten mógłby obliczyć wszystkie stany przyszłe tych systemów. Przyszłość leży w przyczynach, które jeszcze się nie ujawniły. Chrześcijaństwo taką wiedzę przypisują Bogu. Jest to wiedza tak ścisła i dokładna, że równa się widzeniu...

Skąd czerpie Jakubisiak swe argumenty dla uzgodnienia swego poglądu z Objawieniem? Przytacza proroków, którzy przyszłość widzieli. Wdzieli, bo im Bóg wszechwiedzący ukazał. Te wzrokowe terminy „wdzieli”, „ukazał” nie oznaczają bynajmniej widzenia zmysłowego. Jest to tylko ubóstwo ludzkiego języka. Ścisłej byłoby może „wiedzieli”, ale tak dokładnie i plastycznie tylko termin optyczny może to wyrazić. Apokalipsa daje nam przykład widzenia znacznie silniejszego, niż wzrokowe, jednoczesnego i wszędzie. Jest to obraz, obraz przestrzenny, jak u Jakubisiaka. Uboga wiedza jest silniejsza bez porównania od widzenia. Stąd u Niego wszystko jest jednocześnie. Bóg jest. Bóg wie. Bez żadnych czasów. Wszystko czyni naraz. Jakubisiak powołuje się na komentarz św. Augustyna (z którym w ogóle jest bardzo zgodny) do słów Genезы o 6 dniach stworzenia. Oto św. Augustyn twierdzi, że Bóg stworzył świat jednorazowo. Tylko inteligencje Aniołów nie były w stanie objąć całości stworzenia, ale w kolejności. Stąd w Genезы mowa o dniach, w których kolejno widzeniu, a raczej wiedzy stworzenia rozumnego ukazują się kolejno Boże dzieła. Sądzę, że to, co powiedziałem, rozstrzyga tę kwestię eschatologiczną przeznaczenie, ale że jest to kwestia najtrudniejsza i najniebezpieczniejsza, przeto należy powiedzieć, że Kalwina potępić nie za naukę o wszechwiedzy Bożej, ale za przypisywanie Bogu woli skazywania ludzi na potępienie, Bóg wie, kto się kieruje nie do Niego, ale od Niego, wie też, kto do Niego w ogóle nie przyjdzie. Owszem nie tylko wie, ale i przeciwdziała tym niebezpieczeństwom, dając tyle łaski do zbawienia, ile tylko jest możliwe bez czynienia z wolnego ducha niewolnika. Ale wiedza np. o tym, że człowiek wpada w rów, nie oznacza wcale pchnięcia tego człowieka w rów. Tak też i w światopoglądzie Jakubisiaka autodeterminizm, czyli wolna wola, działająca z właściwymi sobie przyczyn jednostkowych jest doskonale znany przez Boga i w tym znaczeniu można powiedzieć, że już jesteśmy w niebie, albo w piekle.

W Świecie...

Przeprowadzone w ubiegłą niedzielę na terenie całej Francji wybory samorządowe przyniosły wyniki dość niespodziewane. Rewelacją był nader niski procent głosów otrzymanych przez M. R. P. bo wynoszący zaledwie 9%. Czym wytłumaczyć tak gwałtowny spadek popularności partii, która przed dwoma laty miała, jak się zdawało, wszelkie warunki by rozwinąć się do rozmiarów najsilniejszego stronnictwa politycznego we Francji. Przyczyny wyborczej klęski MRP. ujawnia nam w znacznym stopniu ogólny rezultat ostatniego głosowania. Otóż partie prawicowe (PRL i Gaullistowska Unia) zupełnie wyraźnie zyskały nowych zwolenników, oczywiście kosztem MRP, gdyż socjaliści, komuniści i zblizone do nich mniejsze ugrupowania utrzymały dotychczasową pozycję z niewielkimi jedynie zmianami. Tak więc okazało się niestety, że o zaufaniu do jakiejś partii politycznej stanowi nie jej program ideowy, lecz okoliczności na pozór drugorzędne. Popularność jednego z liderów działać może więcej dla rozwoju stronnictwa niż najbardziej wzniosłe zasady i zamierzenia. Ten właśnie los spotkał MRP. w związku z osobą gen. De Gaulle. Dziś zaś kiedy drogi generała i stronnictwa (które powszechnie i nie bez słusznych podstaw uważano za grupę ludzi przez niego inspirowanych) rozszły się w przeciwnych kierunkach — odeszli wszyscy ci, których zwerbowało do szeregów MRP. nazwisko generała. Odstąpili też i inni, a mianowicie ludzie skrajnie prawicowych poglądów dla których MRP. było w swoim czasie jedyną partią mogącą posłużyć im za schronienie.

W ten sposób grozi Francji poważne niebezpieczeństwo układania stosunków wewnętrznych na gruncie powiązań międzynarodowych. Może to doprowadzić do podzielenia kraju na bloki — orientacje, co zawsze jest groźne dla życia politycznego. Czyżby Francja zatraciła instynkt samozachowawczy?

W połowie ubiegłego tygodnia nastąpiło we Francji od dawna oczekiwane przesilenie rządowe. Po posiadzeniu gabinetu ministrowie złożyli dymisję na ręce premiera Ramadier. Przyczyną dymisji był, jak mówią we francuskich kołach politycznych, list wystosowany do premiera przez ministra finansów Schumana. Schuman sprzeciwił się w nim energicznie posunięciem rządu, dokonaniem w związku ze strajkiem pracowników paryskiego metra, zarzucając rządowi słabość i zbytnią ustępliwość. Schumana poparli ministrowie MRP i radykalowie. Nowy rząd tworzony przez Ramadier liczyć będzie tylko 14 ministrów w miejsce dotychczasowych 23. Zobaczymy czy dzięki „oszczędnościom personalnym” usprawni się działalność gabinetu. Tymczasem coraz to wybuchają strajki w różnych częściach Francji, a związki zawodowe wysuwają ciągle nowe postulaty pod adresem rządu. Niezadowolone rōnie i nie będzie rzeczą łatwą usunąć je w szybkim czasie.

W polityce światowej napotykać znów fakty, o których nie słyszeliśmy od kilku lat. W ubiegłym tygodniu uczyniła to Brazylia w stosunku do ZSRR. Bezpośrednim powodem zerwania stosunków dyplomatycznych był szereg artykułów zamieszczonych w prasie rosyjskiej a atakujących polityczne osobistość brazylijskie. Odpowiedzią Rosji na ten krok dyplomatyczny Brazylii było opublikowane przez Tass oświadczenie, stwierdzające, że Brazylia zachowywała się wrogo wobec ZSRR od początku jego powstania. Poza tym Tass utrzymuje, że odpowiedzialność za akcję prasową ponosi prasa, a nie rząd.

Drugi wypadek zerwania stosunków dyplomatycznych miał miejsce między Chile i Czechosłowacją.

(Marii Ludwiki, Stanisława Augusta i in. dopełniały świętości Katedry. Bardzo charakterystycznymi były, na ścianach nawy, tablice grobowe J. J. Dekertów, na których ojciec zamianowanym został „pierwszym stanu mieszczkańskiego przewodnikiem i obrońcą”, zaś Jan Dekert syn, był po śmierci rodziców „za dziećmi ludu przybrany”.

Katedra, jak już wspominałem, restaurowana kilkakrotnie, ostatnią przebudowę przechodziła około roku 1836, kiedy to Ildzikowski zmienia wnętrza oraz zewnętrzną szatę świątyni. Sama przeróbka, wykonana bardzo starannie, utrzymana jednak w stylu angielskiego gotyku, obca była narodowemu charakterowi architektury.

Miejscem specjalnym, czią przez lud otaczanym, była kaplica, zwana Baryczkowska, z cudownym Chrystusem, o którym liczne legendy krążyły wśród mieszkańców Starego Miasta i któremu moc łask specjalnych przypisywano. „Na tłum prostaków, co się doń zbliża, na dostojniki stare Warszawy, smutnym wejrzeniem ze swego krzyża, spogląda Chrystus cichy i krwawy”.

A wreszcie ostatni rozdział — powstanie wareszawskie.

Już od pierwszych dni walk na Starówce, wieże katedralne giną w kłębach dymów i ognia od palących się domów okolicznych. Bomby z pikującej bezkarnie Stukasów, rozrywają w strzępy dom po domu, powiększając z godziny na godzinę morze rumowisk

i zagłady. Nieustanny rój rozrywających się różnorodnych pocisków, pokrywa wszystko stalowym gradem. Katedra trwa — pociski, jakimś cudem zda się, omijają budowlę. Czasem, gdy gwałtowniejszy powiew wiatru rozzerwie na chwilę całun skłębionych chmur dymów i pyłu, zcerwionione oczy obrońców z otuchą dostrzegają wciąż dumnie wystylające i nienaruszone wieże Katedry. Aż niepojętym wydaje się niektórym — ciągły skowyt i gromy bomb, roztrząskujących po raz wtóry, a często i dziesiąty wózgorza osmolonych rumowisk, a Katedra chwycić się od bliskich wybuchów, błogosławić jak Mojżesz, wyciągniętymi do nieba rękami-dłońmi, walczącemu ludowi.

(W Jej murach, upadający ze zmęczenia księży, z biskupem Majewskim na czele, niestrudzenie trwają na stanowisku. Niosąc Ciało Boże łaknącym, opatrując rannych, gotowi w każdej chwili ratować Katedrę od pożaru. Godziny pomieszały się z dniami, czas mierzy się jeno przerwami w nalotach.

Wreszcie 12 sierpnia, przed południem, wściekła seria z „Krowy” zarywa dach od strony Wisły. Wybuchoż pożar w prezbiterium. Siła ognia uniemożliwia ratunek. Prezbiterium płonie.

Dziwnym trafem ocalała całkowicie tylko kaplica Cudownego Pana Jezusa.

W toku dalszych walk nieuszkodzo-

na nawa przechodzi kilkakrotnie z rąk do rąk.

Wreszcie, zgnieciona bestialsko Starówka, nie mając piędzi ziemi, którą by po wielokroć nie zorały pociski — pada.

Zwolna dopalają się zgłiszczona, chmury dymów, opadając odsłaniają bezkres poszarpanych pieszczeli rumowisk i... nieknięte wieże i nawę Katedry.

Gdy w połowie listopada księży za specjalnym pozwoleniem dostają się na teren Starego Miasta, zastają zniszczone mury katedralne, a wewnątrz względnie ocalałe ołtarze, ambonę, pomniki i in.

Księża, w miarę swych skromnych możliwości, ratują tylko drobny sprzęt liturgiczny, spodziewając się zresztą, że Katedra już ocala.

I tutaj odwieczna nienawiść krzyżacka, datująca się jeszcze od sądu papieskiego w tym miejscu, zbrodnictwami rękami podkłada pod mur całe tony dynamitu. I oto w końcu listopada, w miejscu odwiecznej Katedry, pozostają jeno poskręcane odłamy gruzów...

Część pierwsza dziejów Katedry zamknięta...

Lecz nadeszła nowa era i dziś scententowani tym prochem rumowisk, w który cały Naród Niemcy chcieli zamienić, wzniesiemy Katedrę nową — nową? nie! tę samą, bo z tych samych cegieł i kamieni, złączonych najtrwalszym lepiszczem wielkiej jedności narodowej...

Tydzien kulturalny

LIST DO PANA

Stefana Żółkiewskiego

REDAKTORA „KUŹNICY”

Szanowny Panie Redaktorze.

Ukazała się w pańskiej „Kuźnicy” recenzja moich „Najeźdźców” p. Barbary Rafałowskiej. Recenzja zła i nieprzyjemna. Zła ponieważ imputuje mi przekonania, których nie wyznaję, nieprzyjemna — ponieważ operuje tendencją i kłamstwem (np. p. Rafałowska wyjaśnia, że cytuję „niebohaterów wojsku” stosując się do Rosjan, gdy tymczasem chodzi o walczących po niemieckiej stronie Rumunów).

Naturalnie rozwiązanie sprawy może być różne. Mógłbym podjąć walkę w prasie. Mógłbym się np. odwołać w sprawie kłamstwa lub tendencyjnego naginania mojej postawy do słów bohaterów książki do Sądu Koleżeńskiego ZZLP. Proszę tylko pomyśleć jaki byłby tego efekt? Jakies może napomnienie dla p. Rafałowskiej. Natomiast książka ze stemplem antyrosyjskiej profaszyzowskiej będzie nadal sprzedawana i zacznie dzięki takiej „reklamie” interesować tę część polskiego społeczeństwa, która dotychczas uchylała się od jej czytania ze względu na moją „kolaboracyjną” postawę. Niestety — takie są dziś u nas kryteria popularności książki.

Wyznaje, że nie chciałbym zwiększenia poczytności „Najeźdźców” takim kosztem. W „Najeźdźcach” jest moja postawa katolika — i to wam się może nie podobać, są niewątpliwie braki i usterek artystyczne. Jeśli te rzeczy będziecie zwałować, przyjmę taką krytykę w „pokorze”. Ale w książce nie ma postawy prozachodniej niezależnie od tego czy to się podoba, czy nie podoba moim czytelnikom.

Kiedy byłem w Rzymie powieść miała być tłumaczona na język włoski. Nie została, ponieważ uznano ją za zbyt brutalnie antyniemiecką. We Włoszech rozumiano książkę. Wasza recenzentka jej nie rozumiała. Naturalnie teza, że najlepszy Niemcy mogą być jeszcze szkodliwi jest teżą trudną. Ale ostatecznie od ludzi piszących u Was można oczekiwać zdobycia się na coś więcej niż na naiwny dydaktyzm.

Jak powiadam mógłbym z recenzją rozpocząć walkę i mam przekonanie że ją wygralbym. Mogę sięgnąć po inne środki. Dużo ludzi czytało „Najeźdźców” ale takiej opinii jak p. Rafałowska nikt nie wypowiadał. Powtarzam jednak: nie chciałbym, aby książka miała stempeł „zachodniości”, który się jej nie należy. Wy może uważacie, że kto chce patrzeć prorosyjsko musi także patrzeć promarksistowsko. Mnie się jednak zdaje, że można być katolikiem, a jednocześnie szukać porozumienia z sąsiadem na wschodzie.

Nie wiem jak się Pan do tej sprawy ustosunkuje. Proszę pomyśleć. Piszę sine ira, uważając sprawę właściwie za błahą. Książka mówi za siebie, więc jej recenzja p. Rafałowskiej nie zaszkodzi. Ale po co tak stawiać kwestię?

Niech Pan przyjmie wyrazy szacunku.

JAN DOBRACZYŃSKI

NA PAŹDZIERNIK
rózańce i książki
poleca

„VERITAS”

Sp. z o. o.

WARSZAWA,

ul. Nowogrodzka 49 I-p.

BĄDŹ ZE TU MĄDRY...

Opinie o „Najeźdźcach” Dobraczyńskiego: „Intuicyjna znajomość Niemców niejskami kapitalna” (Tygodnik „owszechny”).

„Skoro szablon dotychczasowy na dłuższą metę nie da się utrzymać, chodzi o znalezienie proporcji z natury rzeczy druzgocących dla kraju Hitlera. Zasługa Dobraczyńskiego polega na tym, że wyzwolił nas spod ugęstij monotonnego banału i dostrzegł komplikacje tam, gdzie inni widzieli tylko sztampe” (Słowo Powszechne).

„Nie przeszkadza autorowi rzucić przed oczy czytelnika doskonale obserwowane fakty dotyczące się w Generalnej Gubernii jeśli idzie o ocrucieństwo gestapo” (Nowiny Literackie).

„Na tę bardzo literacką zresztą potać rzutu Dobraczyński także inną oze — uderza nią w niemiecki mit asy... Zadaniem Niemiec — mówi lary wychowanek Bismarcka baron on Grote — jest zaprząć psychikę łowiarską do niemieckiego pluga...” (Arkona).

„Stykając się codziennie ze sprami ludności autochtonicznej ziem achodnich... dopiero możemy w pełni ocenić i uznać trafność problemu, odjętego przez Dobraczyńskiego w entralnej postaci powieści — Hugona Kostrzewy” (Polska Zachodnia).

„Drugim wątkiem problemowym Najeźdźców” jest ideowa antyteza ołkolizmu z jednej strony i rasowol-nacjonalistycznej mistyki niemieckiej z drugiej” (Tygodnik Warszawski).

„Zakładając — wbrew przeświadczeniu wojennemu swoich rodaków — „i Niemcy są ludzie” Dobraczyński postanowił opisać takich właśnie „dobrych, przeciętnych Niemców”, opisać niszczenie jakie w ich duszach wywołał hitlerizm, więcej — jakie wywołał germanizm...” (Twórczość).

„Bohaterowie Najeźdźców Niemcy są to przeważnie ludzie myślący, niezaz i czujący artystycznie i jest to dusznie pomysłane i dobrze pokazane jak serce i rozum takich właśnie adzi był tamany i poniżany przez utrófj faszystowski” (Dziś i Jutro).

„Tak zamyka się koncepcja „zachodnia” Dobraczyńskiego. Usprawliwienie i apologie Niemiec, usprawliwienie zdradców narodu... staje się zrozumiałe” (Kuźnica).

„Tak żaden Niemiec nie myślał nigdy, ale tak myśleć nie wolno polskiemu pisarzowi, jeśli nie chce znaleźć się w dziwnym i jałowym kręgu megalomanii narodowej...” (Gazeta Ludowa).

JASNE STANOWISKO

W mieście Rushville (6.500 mieszkańców), uznanym za typowe w Stanach Zjednoczonych, wybrano 50 mieszkańców wszelkich zawodów i klas społecznych i przeprowadzono wśród nich ankietę. 12 uczestników nie słyszało nic o planie Marshalla, 6 niewiele, 19 oświadczyło się za planem, 13 przeciw. Za dalszą pożyczką dla W. Brytanii opowiedziało się 17, przeciw 31. Tylko 6 było za dopuszczeniem do USA przez 4 lata po 100.000 wysiedleńców z Europy. Na pytanie, czy da się uniknąć wojny z Rosją, 16 odpowiedziało tak, 2 nie, reszta nie wiedziała.

KALENDARZYK UCZNIOWSKI

Spółdzielnia Wydawn. „Książka” wydała — bardzo reklamowany „Kalendarz uczniowski” na rok 1947/8 (cena 150 zł, 412 stron tekstu). Wspaniale to dzieło przynosi m. in. następujące informacje:

Str. 215 (pochodzenie człowieka): „W starożytności, w wiekach średnich panowało przekonanie, że zarówno człowiek jak rośliny i zwierzęta istniały w postaci niezmięnionej od czasu ich stworzenia drogą jakiegoś cudownego aktu.

Obecnie nie ma przyrodnika, który miałby wątpliwości co do tego, że gatunki organizmów są zmienne, że powstają jedne z drugich, że cały świat organiczny pochodzi od jakichś najprostszych organizmów, które prawdopodobnie około 2 miliardów lat temu zamieszkiwały morza i oceany”.

Str. 216: „Najbliższymi człowiekowi zwierzętami są małpy, wśród których żadna jednak nie może być uważana za przodka człowieka. Sprawa pochodzenia człowieka wyświetla się obecnie (może w kinie? — uwaga nasza) coraz bardziej, choć dotychczas znalezione szczątki domniemyanych przodków człowieka są nieliczne”.

Str. 218 i 219: „Główną przyczyną zapoczątkowania niespotykanego w świecie organizmów rozwoju człowieka było niewątpliwie przejście od łączącego nadržewnego trybu życia do życia na ziemi i do poruszania się na tylnych kończynach w pozycji wyprostowanej. Pozwoliło to na rozwój czaszki, a co za tym idzie i mózgu, a więc i uzdolnień psychicznych”.

Biedni uczniowie...

WYSTAWA REMBRANDA

W sierpniu w muzeum Orangerie w Paryżu została otwarta wystawa Rembrandta. Jest to właściwie pokaz grafiki i rysunków wielkiego mistrza światłocienia, gdyż obrazów na wystawie jest tylko sześć, wyraźnie dla uzupełnienia charakteru całości. Obrazy wypożyczył Louvre, jak również część rysunków, reszta pochodzi ze zbioru Edmunda Rotszylda.

Między wystawionymi akwafortami pokazano najbardziej piękne odbitki, najbardziej cenne i najrzadsze, niektóre znane dotąd jedynie w 2-ech egzemplarzach, jak np. odbitka na pergaminie kwasyorytu, pt. „Trzy Krzyże” (I-szy stan ryciny). Odbitka I-go stanu na papierze japońskim ryciny znanej pod nazwą: „Jezus uzdrawiający chorych” także znajduje się na wystawie. Należy ona również do pierwszorzędnych rzadkości (4 znane egzemplarze). W ogóle wystawiony zbiór jest jedną z wspanialszych kolekcji prac graficznych Rembrandta i może rywalizować ze zbiorem, jaki miasto Paryż otrzymało w darze od znany h zbieraczy, braci Dutuit.

Wędrowki po scenach polskich

»Roxy« — Komedia w 3 aktach B. Connorsa

Trudno jest mieć pretensję o to, że „Roxy” od wielu lat triumfalnie wędruje sobie po naszych scenach. Biegli w słowie pisanym zjawiają się pewnie ze złości obserwując sukcesy Connorsa, przy czym z gniewu ich przeziara zazdrość, że chodzi o jakąś tam komedię, a nie o potężny dramat.

Biegli w słowie pisanym są zazwyczaj trochę śledziennikami i martwi ich zwycięstwo humoru. Nic tym biegłym poradzić nie umiem. Śmiech ma i powinien mieć prawo do egzystencji na tym padole. Z drobnym tylko zastrzeżeniem: byleby to był śmiech a nie rehot

„Roxy” należy do rzędu komedii ulepionych bardzo zgrabnie i interesująco. Jak w każdej komedii tak i tu wnikliwy obserwator dostrzeże wiele błędów, może nawet nielogiczności. Wydaje mi się jednak, iż na taką analizę szkoda czasu. Wystarczy, że w czasie spektaklu śmiejemy się, że mamy wszelkie powody by twierdzić, że jest to śmiech, jeśli niezupełnie

*) Teatr Powszechny w Warszawie.

Za życia wielkiego Holendra wielu współczesnych ceniło go bardziej jako akwafortcę, niż jako malarza. Ale jak niedoceniana w pełni była nawet jego sztuka czarno-biała dowodzi fakt, iż jeszcze o stulecie później na licytacji publicznej komplet 40 szkiców Rembrandta osiągnął sumę... 6 franków.

KAPITUŁA SALEZJANÓW
W TURYNIE

Dnia 24 sierpnia br. nastąpiło w Turynie otwarcie XVI z rządu Kapituły Generalnej Towarzystwa Salezjańskiego. W Kapitulie też bierze udział 108 przedstawicieli Salezjanów ze wszystkich części świata, wśród nich pięciu Polaków. W pierwszym dniu dokonano wyboru Księęcia Generala, którym został ponownie NPW. ks. Piotr Ricaldone, wielki przyjaciel Polski, nawołujący w czasie wojny w swych orędziach skierowanych do całego świata, do modlitw i ofiar na rzecz naszej Ojczyzny. Wśród członków Kapituły Głównej znajduje się znany w Polsce, długoletni, zasłużony pracownik na niwie salezjańskiej, były Inspektor (Prowincjał), ks. dr Piotr Tirone.

O LOS PAMIĘTNIKÓW
KS. BLIZIŃSKIEGO

Na zaproszenie Państwowego Instytutu Kultury Wsi twórca wzorowej wsi, ks. prałat Wacław Bliziński z Liskowa, napisał pamiętniki — w czasie swej przymusowej bezczynności w okresie hitlerowskiej okupacji.

Jeden z egzemplarzy tych pamiętników został przekazany Dyrekcji Związku Rewizyjnego Spółdzielni Rolniczych na ręce dyr. Czahyry — drugi jest w posiadaniu brata X. Blizińskiego, Stanisława, wręczcie trzeci egzemplarz znajduje się u przyjaciela X. Blizińskiego, ks. Henryka Weryńskiego w Krakowie.

Jak się dowiadujemy, wydaniem pamiętników wspomnianych zainteresował się prezes Narodowego Banku Polskiego i wiceminister skarbu p. Droźniak. Nie wiemy tylko: jak daleko posunęła się sprawa opublikowania tych zapisków wielkiego działacza społecznego i spółdzielcy.

Wyrażamy przekonanie, że tą sprawą powinien się zająć przede wszystkim Związek Rewizyjny Spółdzielni Rolniczych.

ARCHITEKTURA I URBANISTYKA
SZWAJCARSKA

„Najłatwiej jest zrobić ścisły szkic”, mówił kiedyś prof. Przybylski. W miarę opracowania projektu, koniecz-

ności zharmonizowania konstrukcji, materiału, skali, modelu, zaczynają się piętrzyć trudności, przed którymi wielu staje bezradnie.

Trudno zrozumieć lekcję, którą nam daje wystawa architektury szwajcarskiej, bez uwzględnienia tej prawdy. Podejście architektów szwajcarskich do tworzywa jest biegunowo przeciwnie do tego jakie panuje u nas, zwłaszcza w naszych czasach. My zaczynamy projektowanie od efektywnego szkicu i nieszłości nierz na nim kończymy. Największą pasją twórców architektury szwajcarskiej jest przemysłienie do końca każdego szczegółu.

Stąd próżno byśmy szukali tu rzeczy śmiałych i oryginalnych. Obowiązuje natomiast bardzo wysoka „przebiegłość”. Obowiązuje bardzo wysoki poziom detalu i wykonania. Nie przybieramy krytycznego wyrazu twarzy. To są bardzo wielkie wartości.

Architektura i krajobraz. O wartości krajobrazu Szwajcarii próżno by się tu rozwodzić. Odciska on swoje piętno i na twórczości tego kraju. Jest niewątpliwie doceniany, chroniony i jest tłem całej twórczości człowieka. Wydaje się jednak, że jeszcze niedostatecznie. Chciałoby się widzieć w miastach i wsiach szwajcarskich więcej tego zrozumiałego stylu „frontem do gór”, więcej związania architektury z górami, więcej wykorzystania widoków górskich w kompozycji wielu osiedli ludzkich, które zbyt są zamknięte w swoim mieszczańskim, spokojnym, sennym bytowaniu. Może zresztą wynika to z kontynuacji linii tradycyjnego budownictwa danych czasów, gdy nie znano narciarstwa i alpinizmu, kiedy zagroda ludzka nie prowadziła ku górom, ale przeciwnie, chroniła przed ich surowością i potęgą.

Bo kontynuacja jednolitej linii rozwojowej jest tu bardzo widoczna. Ten przysławiony kraj wolności, ominięty wszelkie zawieruchy i rewolucje ostatnich czasów. W budownictwie, jak i w urbanistyce szwajcarskiej nie ma przewrotów. Nowa twórczość spokojnie rozwija i rozbudowuje dawne plany osiedli, najwyżej lekko je koryguje, nic nie niszczy, niczego nie zaprzepaszcza. Widać w niej wzrost dobrobytu, nowoczesne prądy udoskonalenia i ułatwienia życia przenikają ciche „mieszkalne” place i ulice starych miasteczek, tworząc nieraz jedną całość.

Można powiedzieć, że architektura szwajcarskiej brak polotu, brak wielkości, jeżeli za wielkość nie zechcemy uznać tego spokojnego, pracowitego dorobku.

Piękna wystawa. Bardzo warto ją zobaczyć.

A. Roszkowski

SPROSTOWANIE

W „Pokłosiu Przemarszu przez Pieńko” w tygodniku „Dziś i Jutro” Nr 42(99) z dn. 19.10. b. r., str. 9, szp. 3, wiersz 19 — 31 omyłkowo podano nazwisko Mierostawska Jolanta, gdy w tym wypadku chodziło o inną sanitaryszkę, której nazwiska dotąd nie ustalono.

kim palcu i ten trudny spektakl jest dla niej napewno igraszka.

Nawet wrodzony lek przed kobietami nie może mnie jednak powstrzymać od stwierdzenia faktu, że Engelowna obsadzona była fatalnie. Ten jednak moment psuje mi wrażenie z niezłego w całości spektaklu warszawskiego. P. Michalewicz (Pani Harrington) daje wynik remiśowy, przy czym remis jest zaszczytny: obie partnerki na wysokim poziomie. W identyczny sposób ustalibyśmy wynik spotkania Kierczyńskiego z Kondratem (Tony Anderson). Tyle o aktorach. Dekoracje bez porównania przyjemniejsze w Katowicach. To nie jest zarzut pod adresem T. Dynowskiego: Śląsk ma znacznie lepsze warunki techniczne.

Do dziś nie mogę zrozumieć, co znaczy termin „reżyseria zespołowa”, podany w programie warszawskiego spektaklu. Jest tu jakies nieporozumienie, uzewnętrzniające się całym szeregiem niedociągnięć, które przekreślają treść słowa zespół, a przypominają raczej powiedzonko: „każdy sobie rzepkę skrobie”. Wolalbym więcej błędów kierowanych, niż te przypadkowe od nikogo niezależne.

Mieczysław Markowski

Mogę powiedzieć tylko tyle: Jarkowska ma swą rolę w male-

Zbrodnia w Dzielnicy Północnej

Stefan Kisielewski (Kisiel)

7

A jednak? Komisarz przypomniał sobie znowu porzuconą na chwilę sprawę samochodu i wstąpiła w niego zwykła mu, nieznająca osłabienia czy zwątpienia, mordercza energia.

— Panie pułkowniku — sądzą, że do jutra możemy jeszcze sporo zrobić — powiedział przekonującym tonem. — Mam pewną poszlakę, która dziś jeszcze może doprowadzić do wykrycia winnych, a w każdym razie do ustalenia sprawców porwania zwłok lub ich współpracowników. Zrobię, co będę mógł, aby jutro przedstawić Ekscelencji panu Ministrowi coś konkretnego.

Wielka, ocieślała twarz pułkownika wyraziła coś w rodzaju ulgi.

— Bardzo mi to cieszy, komisarzu — wymruczał. Niech pan zrobi, co się da. Tylko już... hum... bez mowych... trupów... hum... a hum... rozgłos... prasa... rozumie pan?

Komisarz zacerwienił się z lekka. Rozmiał doskonale: to była nagana; ale zasłużył na nią. Zasłużył rzetelnie.

VIII.

Gdy tylko komisarz Gromel znalazł się na zasmutej mgłą ulicy, widok pierwszego przejeżdżającego auta wprowadził go z powrotem w przerwany wizytę u pułkownika Norda tok rozumowania. Punktem wyjścia była ciagle ta sama myśl, która oślniła komisarza dziś rano. Myśl, którą zreferujemy obecnie czytelnikowi, mocno już zapewne zirytowanemu tym, że nikt mu nie mówi o co chodzi i jakie to mianowicie podejrzenia powziął komisarz Gromel.

Przypominamy sobie, że samochód — karetka doktora Alena, mająca przewieźć do prosektorium Zakładu Medycyny Policyjnej zwłoki profesora Galarda, uległa w drodze wypadkowi, który opóźnił jej przybycie na miejsce o dwie minuty więcej godzin. Rzecz ta kilkakrotnie już była przy różnych okazjach wspominana i za każdym razem komisarz Gromel doznawał przelotnego wrażenia, że coś w tej historii nie jest w porządku. Już od razu na pierwszy rzut oka dziwną mogła się wydać okoliczność, iż na reperację auta zużyto aż tyle czasu: dwie godziny, ho, ho — przecież to kawał dnia. Ale za każdym razem komisarz przypominał sobie, że zmiana koła i jakiegoś tam uszkodzenie maski, to jednak, bądź co bądź, też jest coś. Dopiero w chwili, gdy pełen beznadziejnej zgagi psychicznej Gromel z okratowanego okna swego pokoju ujrzał sunące po mokrym asfalcie małe, zielone auto, uderzyła go jak obuchem podstawowa nielogiczność, tkwiąca w tej całej historii. Niewątpliwie (komisarz zrozumiał to od razu, gdy tylko wysłuchał opowiadania doktora) owo zderzenie z zielonym autem nie było dziełem przypadku, lecz rozmyślnie dokonanym aktem, mającym na celu opóźnienie przyjazdu Alena — gdyby nie ono przecież, Alen przybyłby na ulicę Balkonową grubo przed tajemniczym samochodem, którym przyjechali napastnicy. Ale jeśli zderzenie było rozmyślane, to przecież sprawcy tego, znajdujący się w zielonym aucie, w żaden sposób nie byli w stanie przewidzieć skutków karambolu: uszkodzenie mogło tak samo być bardzo drobne, nawet zgoła niewinne i wtedy, mimo wszystko, doktor Alen zjawiałby się w mieszkaniu profesora Galarda wcześniej, niż bandyci, albo też mógłby zaskoczyć ich „przy robocie”. Jeśli napastnicy zdecydowali się przyjechać na ulicę Balkonową stosunkowo późno, mniej więcej w półtorej godziny po zderzeniu, wniosek z tego jest prosty: byli najzupełniej pewni, że reperacja samochodu przeciągnie się dłużej. Wniosek dalszy to już czysta formalność — po prostu ktoś ich o tym zawiadomił, ktoś z obsługi samochodu, albo z warsztatu, gdzie samochód reperowano. Możliwe też, że reperacja została przez tego kogoś umyślnie przedłużona, aby dać czas złoczyńcom. Zatem jakiś człowiek z perso-

nelu Zakładu Medycyny Policyjnej, albo z obsługi warsztatu przy ulicy Wielkich Wodzów był w zмовie ze zbrodniarzami. Teraz tylko pytanie — kto to taki?

Jeśli chodzi o zielone auto, komisarz miał jeszcze inne podejrzenia, ale były to właściwie tylko nieokreślone, irracjonalne hipotezy, domysły zawieszony na tak cienkiej nitce prawdopodobieństwa, że na razie nie odślonimy ich przed czytelnikiem. Przyjdzie czas i na to.

Mgła na ulicach stała się tymczasem wprost dotykalna — można by ją ciąć się kierą czy krajać nożem. Komisarz Gromel energicznym krokiem, na pamięć po prostu przemierzył parę ulic i niezadługo wchodził już do Zakładu Medycyny Policyjnej.

Obszerny i pomury był to gmach. Na dole garaże, na niskim pierwszym piętrze kostnica i prosektorium, na drugim piętrze biura, na trzecim mieszkania prywatne, wśród nich rezydencja doktora Alena, jednego z kilku zaledwie ludzi na świecie, których komisarz Gromel uważał za swoich przyjaciół. Dr Alen kierował zakładem od wielu lat i miał ugruntowaną opinię cennego, wypróbowanego współpracownika Policji Śledczej.

Komisarz wchodził szybko po wykładanych kablami schodach, starając się nie myśleć o kostnicy i prosektorium. Zaglądał tam rzadko i tylko w razie najkonieczniejszej potrzeby. Widok mnóstwa nagich trupów, leżących w zimnej sali równiutkimi rzędami na drewnianych niskich stołach napierał go zgrozota; wszak przywożono tu tylko ludzi zmarłych śmiercią gwałtowną, pomordowanych, potopionych, samobójców — co noc kilkanaście przynajmniej takich zwłok dostarczały same tylko przeklęte zaułki Dzielnicy Wschodniej. To był niezbity akt oskarżenia przeciwko policji: a wcale mimo wszystko Lęk i Zbrodnia nie zostały dotąd wygnane ze stolicy, lecz z zapadnięciem mroku obejmowały panowanie nad ciemnymi, nieskończonymi labiryntami ulic. Rezultat tych nocnych rządów podziwiać można w bezlitosnym świetle poranka; nieskończone szeregi niskich stołów, na nich okaleczone, częstokroć zmasakrowane, noszące znaki uduszenia lub gwałtu ciała mężczyzn i kobiet, z oczami szklanymi, w których zastąpił śmiertelny strach. Oto nocne żniwo Zbrodni, oto jej lupy, zwożone samochodami ze wszystkich dzielnic miasta do tego wielkiego, niekształtnego budynku z czerwonej cegły, istnego Archiwum i Muzeum Śmierci. Małym, niedzielnym i zgubionym wydawał się sobie komisarz Gromel, przechodząc, rzadko kiedy co prawda, przez tę najstraszniejszą w mieście salę.

Władca tego królestwa gwałtownej śmierci, jasnooki chłodny człowiek w białym kitlu zstępował właśnie po schodach naprzeciw komisarzowi. Na widok Gromela dr Alen nie okazał najmniejszego zdziwienia — zresztą nie zdziwiłby się zapewne również, gdyby, zobaczył wchodzącą po schodach afrykańską żyrafę — zdziwienie było dla doktora uczuciem zupełnie nieznanym. Ścisnęli sobie mocno ręce: — Chciałem ci zadać parę pytań w związku jeszcze ze sprawą Galarda — powiedział komisarz. — Chodźmy do biura — mruknął Alen. — Właśnie szedłem robić sekcję Luize Lore.

Gdy zasiedli naprzeciwko siebie po obu stronach ascetycznego biurka, komisarz Gromel uczuł przyjemną jasność i napięcie umysłu: myśli przesunęły mu się przez głowę gładko i precyzyjnie, zahaczając jedna o drugą, jak pasy transmisyjne.

— W którym punkcie ulicy Wielkich Wodzów wpadło na was zielone auto, gdy jechaliście po zwłoki Galarda? — rozpoczął przerywając krótkie milczenie.

Alen namyślał się przez chwilę.

— Około rogu ulicy Przelotowej.

— A jak daleko było stamtąd do warsztatu reperacyjnego?

— Niedaleko — ze sto pięćdziesiąt me-

trów najwyżej. Warsztatów samochodowych jest w tamtych stronach mnóstwo.

— Czy podjechaliście po katastrofie do tego warsztatu?

— Nie — sanitariusze, szofer i ja dopchnęliśmy auto pod bramę.

— Jaktó — w ogóle nie dało się jechać?

— Koło było całkiem pogięte, mimo to przejechanie tych paru metrów nie należało do niemożliwości, ale szofer obawiał się poważnego defektu wewnętrznego, w rezultacie mogło dojść do wybuchu motoru albo czegoś w tym rodzaju.

— Czy uszkodzenia były poważne?

— Jak się okazało, najważniejsze było częściowe zgruchotanie koła — poza tym pogięcie maski i parę drobnych raczej uszkodzeń wewnątrz.

— Hm. Kto reperował auto?

— Mechanik z warsztatu i szofer.

— Co to za szofer?

— Nasz szofer — z Zakładu. Nazywa się Rond.

— Czy jest tu teraz?

— Nie — jeździ właśnie na mieście.

— Czy byłś obecny przy naprawie samochodu?

— Nie cały czas. Początkowo myślałem, że rzecz potrwa znacznie krócej — gdy zobaczyłem, że zanosi się na dłużej, zatelefonowałem do Zakładu po inny samochód. Niestety — okazało się, że wszystkie są zajęte. Wobec tego poszedłem coś załatwić — gdy wróciłem, reperacja nie była skończona, wyszedłem więc jeszcze raz — na kawę. Gdy wróciłem po raz drugi, szofer wyjeżdżał właśnie z bramy warsztatu. Cała historia trwała przeszło półtorej godziny — chciałem już nawet dzwonić do ciebie, uprzedzić cię, że się spóźnimy. Szkoda, że zaniechałem tego.

— A co robił przez cały czas reperacji sanitariusze?

— Z początku siedzieli w warsztacie — potem pozwolili im pójść na piwo.

— Hm. Ile samochodów ma do rozporządzenia Zakład?

— Cztery karetki, jedna ciężarówkę i jedno auto osobowe.

— I wszystkie były na mieście?

— Wszystkie — oprócz osobowego, które do przewożenia zwłok się nie nadaje.

— Czy nie uważasz, że reperacja auta trwała zbyt długo?

Alen zamyślił się na chwilę.

— Wiesz — nie przyszło mi to do głowy — odpowiadał wreszcie. — Czy masz jakieś podejrzenia?

— Tak. Pomyśl, że napadu na mnie i porwania zwłok dokonano stosunkowo późno, na pół godziny najwyżej przed naszym przyjazdem. Sprawcy napadu musieli więc wiedzieć, że reperacja się przeciąga, raz, że ty nie posłużyłeś się innym autem. Ktoś przecież musiał ich o tym uwiadomić — i to ktoś, dobrze o twoich krokach poinformowany, ktoś z twojego personelu. Słowem — szofer, albo któryś z sanitariuszy.

— Wykluczone — powiedział zdecydowanie Alen. Są to ludzie wypróbowani, wieloletni pracownicy Zakładu. I przy tym rzecz nie da się pogodzić z jeszcze jedną okolicznością: ten informator musiałby zawiadomić bandytów o skutkach katastrofy co najmniej w ciągu godziny po zderzeniu — tymczasem, kiedy po godzinie mniej więcej wróciłem z miasta do warsztatu, ani szofer ani sanitariusze jeszcze się stamtąd nie ruszyli na krok.

— Czy w warsztacie był aparat telefoniczny?

— Był, z niego właśnie dzwoniłem do Zakładu.

— No więc któryś z twoich ludzi mógł również stamtąd zawiadomić bandytów o skutkach katastrofy.

— To prawda — mruknął Alen — zresztą o tym możesz się każdej chwili dowiedzieć w samym warsztacie. Ale powtarzam ci, że za tych ludzi ręczę — znam ich od lat.

— Czy ci sanitariusze są teraz na miejscu?

— Nie — pojechali właśnie autem przewożonym przez Ronda.

— Tym samym autem?

— Tak.

— Przyslij ich do mnie do Wydziału jutro rano — dobrze?

— W porządku.

— A kto jest właścicielem warsztatu?

— Niejaki Hofmeister — ulica Wielkich Wodzów 231. Gruby i ordynarny typ. Czy chcesz go przesłuchać?

— Oczywiście — wszakże on tak samo mógł być tu odegrać rolę — przypuścimy, że sprawcy zainscenizowali zderzenie specjalnie niedaleko od jego warsztatu; mógł on tak samo dobrze umyślnie przedłużyć reperację a tymczasem zatelefonować do bandytów. Pogadam z nim dzisiaj — jutro chcę koniecznie przesłuchać szofera i sanitariuszy.

— Przysię ci ich z samego rana — koło dziewiątej.

— Możesz nawet wcześniej — powiedział komisarz Gromel i jakby lekki cień przesunął się przez jego twarz. Przypomniał sobie jutrzejszą wizytę u ministra.

— Dobrze — przyjdę po ósmej. A jak ci w ogóle idzie sprawa?

— Mam zbudowaną teorię — odrzekł komisarz — jest w niej co prawda parę luk dowodowych — gdyby nie to, mógłbym właściwie już kogoś aresztować. Ale jeśli nie dziś, to jutro — co się odwlecze, to nie uciecze.

— Jesteś zdumiewający — powiedział doktor. — Wiem, że nie lubisz w czasie śledztwa pytań, ale w drodze wyjątku powiedz mi, co sądzisz o takiej rzeczy: czy sprawcy obu zabójstw i porwania zwłok to są jedni i ci sami ludzie?

Komisarz wpatrzył się w twarz doktora z głębokim namysłem. Długie milczenie poprzedziło jego odpowiedź:

— Oczywiście — mruknął wreszcie.

Po chwili pożegnali się serdecznym uściskiem dłoni i komisarz zeszedł powoli po kaflowych schodach. Był tak zamyślonny, że nawet nie doznał zwykłego drgnienia przykrości przechodząc obok „trupich sal”, czyli kostnicy i prosektorium.

Na ulicy przypomniał sobie, że miał jeszcze pewną sprawę do Wydziału Śledczego. Prosił był mianowicie sekretarkę, aby sprawdziła w archiwum Referatu Sądowego, za jakie to właściwie „zakłócenie porządku publicznego” skazano w swoim czasie Luize Lore na pół roku więzienia. Gromel zawahał się chwilę, po czym wszedł do najbliższej bufki telefonicznej.

— Tak panie komisarzu, sprawdziłam — głos sekretarki skrzypiał w słuchawce dziwnie zmieniony. — Ta kobieta dostała pół roku za udział w antypaństwowej demonstracji, urządzonej przez organizację „Świat Nowy”. To było w r. 19... w maju. Karę darowano na zasadzie amnestii.

— Dziękuję pani. Gromel odłożył słuchawkę i wyszedł z budki.

„Świat Nowy”! Była to rewolucyjno-anarchistyczna organizacja robotnicza. Choć już od wielu lat nielegalna — istniała i działała wciąż, świetnie zakonspirowana, dając od czasu do czasu znać o sobie jak podziemny wulkan wybuchami — sporadycznymi manifestacjami, niewiedząc przez kogo rozrzucanymi groźnymi ulotkami, czy nawet zamachami bombowymi. „Świat Nowy” — „Naród Przebudzony”. Duże wrogie sobie nawzajem organizacje polityczne — obie nielegalne! I wśród tego wszystkiego profesor Galard — wynalazca, znający ważne tajemnice państwowe. Zbrodnia polityczna! Zbrodnia polityczna!

Mgła rozwiała się, dzień był pochmurny, ale już dość jasny. Ruch na ulicach kolosalny — na chodnikach również tłumy ludzi, ale na jezdniach to już po prostu orgia samochodowa — tak jakby pojazdy wszelkiego rodzaju chciały odbić sobie przymusową łagodność i powolność, którą musiały okazywać w czasie mgły. Ulica widziana z góry byłaby podłużną kratką złożoną z poszczególnych, również podłużnych prostokątów. Te prostokątki to dachy samochodów — jeden przy drugim, jeden przy drugim. A wszystko ryczało i trąbiło jak zwarlowane

(c. d. n.)

Ks. Henryk Weryński

CUDA W LISKOWIE

Kiedy jesienią 1944 roku „oczyszczali” Niemcy miejscowość podwarszawska, z transportem dzieci z sierocińca Sióstr Służebniczek w Chotomowie wyjechał stary, sympatyczny pan z widocznymi śladami choroby na ujmującej dobrocią twarzy.

Był nim ksiądz prałat Wacław Bliźniński z Liskowa, który — w świeckim przebraniu — ukrywał się w azylum Sióstr Służebniczek przed czujnymi ślepiami gestapo. Stamtąd wykradał się czasem, by wziąć udział w obradach władz naczelnych Związku Rewizyjnego Spółdzielni Rolniczych i skontaktować się z przyjaciółmi...

Uciążliwy transport — całotygodniowy — do Częstochowy nadszarpał tak poważnie zdrowie i siły ks. Bliźnińskiego, poważnie chorego na serce, że w dniu 21 października 1944 roku zgasł u stóp Jasnej Góry.

W dniu 14 września br. prochy ks. Bliźnińskiego wróciły do ukochanego tak bardzo przezeń Liskowa, gdzie trumnę Jego złożono z honorami, należnymi czołowemu działaczowi społecznemu i spółdzielcy — przy udziale przedstawicieli władz i szerokiej sfery społeczeństwa.

Byłoby źle, gdyby społeczeństwo katolickie w Polsce „przeszło do porządku” nad rocznicą zgonu tego zasłużonego kapłana i działacza i nie oddała Mu należnego hołdu, oceniając należycie wspaniałe dorobek Jego pracowitego żywota i czerpiąc z tego dorobku naukę i otuchę.

Byłoby źle, gdyby prasa katolicka nie okazała kywskiego zainteresowania tym dorobkiem, który jest pokazną, wprost wspaniałą pozycją w bilansie twórczego katolicyzmu na ziemi polskiej.¹⁾

Byłoby źle, gdyby prasa katolicka ograniczyła się do wzmianki kronikarskiej o przewiezieniu trumny twórcy wzorowej wsi z Częstochowy do Liskowa.

Wspomnienie, które tu zamieszczamy, ma być skromnym zarządzeniem temu złu.

★

Kiedy Wacław Śledziński pisał na łamach „Polski Zachodniej” dnia 15 lutego 1938 roku o dorobku księdza Bliźnińskiego, stwierdził, że Lisków to: „symbol dobrego gospodarstwa wiejskiego”.

Moim zdaniem w tym określeniu nie pomieści się ten dorobek. Trzeba rozszerzyć ramy, aby „cuda” w Liskowie mogły się w nich pomieścić.

Oglądając te „cuda” przyjeżdżali nie tylko spółdzielcy i ciekawi z całej Polski, ale również i goście zagraniczni. W księdze pamiątkowej, do której wpisywali się w sierocińcu liskowskim dla dziewcząt, widniały czelowe, pierwszorzędne nazwiska.

Gdybyśmy zapytali: w czym leżało właściwe sedno tych „cudów” i ich przemożna siła atrakcyjna, to musimy w odpowiedzi stwierdzić dwa elementy tej „cudowności”.

Pierwszym z tych elementów jest fakt prymitywności, niepodatności i całego splotu naturalnych trudności środowiska.

Poprzednik księdza Bliźnińskiego na probostwie w Liskowie, śp. ks. Romanowicz, określił to środowisko bardzo znamienne i lapidarnie: „Żyli ludzie..., nie tu zrobić nie można”....

¹⁾ Porów. Ks. Henryk Weryński. „Dzieło twórczego katolicyzmu”, Lisków, 1937.

A jednak — na tej właśnie, tak niewdzięcznej glebie ksiądz Bliźniński potrafił zapałem swoim i niespełna trzydziestoletnią pracą wyczarować „cuda”, budzące słuszny podziw szeroko i daleko. Udowodnił on i przekonał namacalnie wszystkich pesymistów, że wieś polska — nawet w najgorszych warunkach — zdolna jest wydobyć z siebie olbrzymie moce twórcze i wspaniałe zasoby energii, owocujące w działach o trwałej wartości.

Lisków był w roku 1900-ym, w którym ksiądz Bliźniński objął tam obowiązki typową „zapadłą wsią”, leżącą w kresowej gubernii carskiej, odgradzoną od świata błotnymi bezdrożami i „zabitą deskami” przed wpływami jakiegóżby bardziej postępowej inicjatywy. Odczuł to na swej „skórze” ks. Bliźniński, zwłaszcza w początkach swojej pracy w Liskowie, bardzo dotkliwie. Każdą jego postępową inicjatywę traktowano bardzo podejrzliwie. Donoszono go nie tylko do gubernatora w Kaliszu, ale i do biskupa we Włocławku. Oskarżano o rewolucyjne pomysły.

Na szczęście gubernator w Kaliszu był człowiekiem roztropnym. Nie uwierzył „na słowo” donosom, ale wezwał do siebie „rewolucyjnego” proboszcza z Liskowa i zażądał odń wyjaśnienia co do „przewrotnych” poczyniń.

Gdy mu ks. Bliźniński wyjaśnił, że realizuje — w miarę swych sił — hasło, które rzucił z ambony liskowskiej podczas swego pierwszego kazania (na Trzech Króli w roku 1900): „pragnę Wam przychylić nie tylko Nieba, ale i chleba”, gdy mu zobrazował swoje pierwsze prace, gubernator zapewnił go, że może spokojnie kontynuować swoją pracę, a każdy nowy donosiciel będzie miał z nim (gubernatorem).... „do czynienia”.

Oczywiście i Kuria Biskupia we Włocławku — z czasem — przekonała się, że rzekome „ekstrawagancje” proboszcza liskowskiego są z zakresu tych poczyniń, które może „zaskakują” ludzi, kurczowo przywiązanych do tradycji, ale które służą rzetelnemu pojętemu dobru wsi i podnoszą — w gruncie rzeczy — prestiż Kościoła.

Drugim elementem „cudowności” Liskowa był pionierski charakter pracy księdza Bliźnińskiego.

Zważmy, że początki pracy księdza w Liskowie przypadają na okres, w którym na wsi polskiej było zupełnie niegłucho o spółdzielczości, że nie było precedensów postępowej pracy społeczno - charytatywnej, że szkolnictwo na wsi było dosłownie w powijakach, że dzieło życia księdza Bliźnińskiego wprowadza zdecydowane „novum” w atmosferę wsi polskiej.

Ks. Bliźniński przyszedł do Liskowa w r. 1900 (w trzydziestym roku swego życia), a już w r. 1902 zakłada pierwszą spółdzielnię, mianowicie stowarzyszenie spożywcze pod nazwą „Gospodarz” — i wnet potem, bo w tym samym roku, powołuje do życia „Wzajemne ubezpieczenie od ognia”.

Z czasem: spółdzielnie stały się nerwem gospodarczym Liskowa

Z miniaturowej „Kasy pożyczkowo-oszczędnościowej”, która w r. 1905 miała zaledwie czterech członków z grona miejscowych gospodarzy, powstał „Bank Ludowy”, liczący przed wojną ponad sześćset członków.

Młyn spółdzielczy, spółdzielca piekarnia, rzeźnia spółdzielca, wzorowa mleczarnia (mająca przed wojną dzienną dostawę sześciu tysięcy li-

trów mleka!), spółdzielca cegielnia i betoniarnia, stowarzyszenie budowlane, spółdzielnia rolniczo-handlowa — to tylko zestawienie ważniejszych pozycji. Ale — ile za tym zestawieniem schematycznym kryje się ogromu pracy i ogromu zdobyczy... I nie tu miejsce aby oceniać rozmach spółdzielcy Liskowa. Ma on już swą wielką kartę w dziejach wsi polskiej.

W serdecznych rozmowach przyjacielskich, które zaliczam sobie do najmiłszych chwil w moim życiu, zwierzał mi się ks. Bliźniński z pewnych „sekreto” w powstawaniu placówek gospodarczych w Liskowie. Dwa z tych „sekreto” miały zasadnicze znaczenie. *Pierwszym* z nich była zasada, że na nową spółdzielnię pracują spółdzielnie, poprzednio powstałe do życia. Nowa spółdzielnia powstaje wówczas, gdy dojrzeje jej faktyczna potrzeba i gdy bratnie instytucje mogą ją podtrzymać, podopiecznym i trwale. *Drugim* było unikanie obdłużenia, przewyższającego równowartość dwu tysięcy złotych przedwojennych.

Te zdrowe zasady zapewniały ciągłość pracy w spółdzielniach i ich prawidłowy rozwój. Wbrew temu, co przepowiadali pesymiści, spółdzielnie przetrwały nie tylko wstrząsy gospodarcze, wywołane wojną, ale i brak swego „duchowego rodzica”, ks. Bliźnińskiego. Spółdzielnie liskowskie odżyły po tragedii okupacji i wykazały zadawalającą tętno. Wystarczy nadmienić, że liskowska „spółdzielnia rolniczo-handlowa” miała w ubiegłym roku obroty, sięgające pięćdziesięciu milionów złotych.

Spółdzielnie — to jednak tylko jak by jedno skrzydło tego wspaniałego gmachu, który wznosił ks. Bliźniński swą pracą.

Niemniej imponująco przedstawiają się szkoły w Liskowie.

Przed laty, kiedy nikomu się o tym na wsi nie śniło nawet, ks. Bliźniński uruchomił w Liskowie gimnazjum, a potem Seminarium Nauczycielskie. Ale ta inicjatywa nie znalazła należytego poparcia w Warszawie. Być może uważano to pociągnięcie ks. Bliźnińskiego za ekstrawagancję, a to było tylko przewidywanie istotnych potrzeb wsi.

Przetrawiły próbę: szkoły zawodowe. A było ich — i jest chwała Bogu — w Liskowie sporo. Od szkoły hodowlanej rolniczej, po szkołę zawodową żeńską (obecnie gimnazjum!) i szkoła rzemiosł dla chłopców z szeregiem specjalnych działów.

Najtrudniej szło — po ostatniej wojnie — z uruchomieniem szkoły rzemiosł... Ale w Liskowie nauczano się od ks. Bliźnińskiego: przełamywał trudności. Już zdołano zakupić maszyny do działu krawieckiego, szewskiego, stolarskiego i zabawkarskiego.

Nadmienić należy, że — tak, jak za życia ks. Bliźnińskiego, — tak i obecnie ze szkół zawodowych w Liskowie korzysta nie tylko młodzież miejscowa i okoliczna, ale z różnych stron Rzeczypospolitej.

Szkoły liskowskie miały zawsze „dobrą markę”. Wszystkie, nie wyłączając szkoły powszechnej, często wyróżnianej przez Kuratorium. Plastyką mapę Francji, wykonaną w liskowskiej szkole powszechnej, zakwalifikowano do przesłania w prezencie prezydentowi Lebrun'owi.

Imponującym skrzydłem gmachu ks. Bliźnińskiego są bezsprzecznie placówki społeczno - charytatywne w Liskowie.

Placówki te zostały ujęte przez ks. Bliźnińskiego w sposób, przynoszący mu trwałą chlubę w tej dziedzinie.

Ich poziom wysoki i nastrój w nich panujący — to były żywe echa wielkiego umysłu i gołębiego serca ks. Bliźnińskiego. Te echa muszą podtrzymać następcy tego wielkiego społecznika. Caritas liskowska była daleka od zapłakania i wdychania współczującego. Była przepromieniona światłem ewangelicznym. W sierocińcach: pogoda słoneczna, praca, ruch i królująca nad nimi — dobroć. Te tradycje ewangelicznego ciepła i pogody muszą czynniki, obecnie decydujące w Liskowie, utrzymać w całej pełni.

Pozycje, jakie stworzył ks. Bliźniński w tej dziedzinie, to: szpital wraz z domkiem osobnym dla lekarza, sierociniec dla chłopców, sierociniec dla dziewcząt (ten ostatni, mieszczący się w gmachu, którego nie powstydziłyby się żadne miasto wojewódzkie), stacja dla matki i dziecka.

Po ostatniej wojnie sierocińce liskowskie ożyły znów. Dziś przysparzają one znów około dwustu piskląt sierocych. Rozbudowują się, planują no wy pawilon w przyszłym roku...

I — znów przegrali pesymiści, którzy przepowiadali ruinę zakładów sierocych w Liskowie — po zgonie ks. Bliźnińskiego. Byli to mali prorocy, którzy nie poznali pracy liskowskiej bliżej.

Pocięchą dla tych, którym leży na sercu przyszłość Liskowa, niech będzie stwierdzenie faktu, że ks. Bliźniński umiał wprzeznąć w pracę charytatywno - społeczną zgromadzenie zakonne Sióstr Służebniczek, wywodzących się ze Starej Wsi pod Brzozowem (w Małopolsce Wschodniej) i znakomicie wczuwających się w potrzeby wsi. Zastępcę tę podzielić musimy pomiędzy śp. ks. Bliźnińskiego i śp. ks. prałata Aleksandra Siemienińskiego z Szywnałdka pod Tarnowem. Bo światły i wysoce świętobliwy proboszcz szywnałdzki wychował całe pokolenie Sióstr Służebniczek starowiejskich w duchu zrozumienia pracy społeczno - charytatywnej na miarę ewangeliczną.

Nie wystarczyło rzucić myśl, zasiać pierwsze ziarna. Trzeba było postarać się o dzielne ramie do zrealizowania planów i zamierzeń społeczno - charytatywnych. Ks. Bliźniński znalazł to ramie i — nie zawiódł się.

Kiedy rejestrujemy „cuda” w Liskowie, nie wolno nam pominąć wreszcie dziedziny pracy ks. Bliźnińskiego, której nie da się ująć ani w jasne, przejrzyste bilanse, ani w statystyczne „kratki” i „drabinki”.

Chodzi tu o *urabianie psychiki* mieszkańców Liskowa i o prawdziwe dźwignię wzywać duszy chłopskiej, wsi polskiej, którą ks. Bliźniński tak bardzo ukochał, chociaż się z niej nie wywodził, urodził się (w r. 1870) w Warszawie.

Gdy się patrzyło w Jego dobre i jasne oczy w czasie rozmów, poświęconych przyszłości wsi polskiej, czytać można było w Jego źrenicach:

„chcę ją podnieść, uszczęśliwić... chcę nią cały świat zadziwić...”

I uczynił wszystko, co było w Jego mocy, by tego dokonać, dopiąć.

Patrzyłem na Liskowian bardzo blisko. Znać na nich naprawdę kultury i owoce dziesiątków lat pracy ks. Bliźnińskiego, który nie tylko materialnie, ale i duchowo odrodził Lisków.

Lisków, nie mający wody, spiął rurami wodociagowymi i kanałami, kopiąc siedem studni artezyjskich. A

ciemny i zacofany, przeprowadził nie tylko przede szkoły różnego typu, ale — przede wszystkim — przez tę najważniejszą *szkołę życia*, która uczy podnosić i dźwigać ciężkiego umysłu i gołębiego serca ks. Bliźnińskiego. Te echa muszą podtrzymać następcy tego wielkiego społecznika. Caritas liskowska była daleka od zapłakania i wdychania współczującego. Była przepromieniona światłem ewangelicznym. W sierocińcach: pogoda słoneczna, praca, ruch i królująca nad nimi — dobroć. Te tradycje ewangelicznego ciepła i pogody muszą czynniki, obecnie decydujące w Liskowie, utrzymać w całej pełni.

Więszym „cudem” Liskowa niż elektryfikacja (od długich lat!), niż bruk i chodniki i całkowita europeizacja wsi, jest dla mnie stwierdzenie — z ust ks. Bliźnińskiego czerpane, że w Liskowie nie ma „szkodnictwa”, będącego hańbą i zakałą tyłu wsi. Ludzie wychowali się w Liskowie w duchu poszanowania wspólnej własności. Drzewa owocowe, sadzone przy drodze, są własnością gminy całej. Kwiaty, posadzone przed szkołą, nodowane po korytarzach szkolnych i klasach, są własnością wspólną gminy szkolnej itd.

To, co było dotąd przywilejem Norwega, Szweda czy Duńczyka, stało się — rzeczywistością w Liskowie. Uważam to za fenomenalny sukces ks. Bliźnińskiego.

„Cuda” w Liskowie można i powinno się oceniać z dwójakiego punktu widzenia.

Pierwszy aspekt — z punktu widzenia ogólnopolskiego, ogólnopolskiego.

Z tej strony oglądany Lisków — jest i będzie zespołem wartości nieprzemijających. Jest i będzie: bardzo poważną pozycją w skali ogólnopolskiej, wyrazem pokaznego dorobku we wszystkich tych dziedzinach, które powyżej poznawaliśmy. I — ja ko taki — Lisków zasługuje na studia i na obszerną monografię. Praca Wacława Karczewskiego pt. „Lisków. — Dzieje jednej wsi polskiej”, wydana na staraniem Komitetu wystawy pod hasłem: „Praca i kultura wsi” w Liskowie, wydana w r. 1937, jest wciąż pokaznym osiągnięciem, ale nie mogła na stu czterdziestu paru stronach objąć całokształtu tematu w zadowalającej rozciągłości i pogłębieniu go należyście.

Drugim aspektem — z punktu widzenia katolickiego.

Określiłem „Lisków” jako dzieło twórcze katolicyzmu. To określenie aprobował ks. Bliźniński i uznał je za trafne.

Dla mnie „Lisków” jest żywą i przekonywującą apologią katolicyzmu.

Jest bowiem wielkim dziełem twórczego katolicyzmu i to takim dziełem, które przekonuje każdego, nawet najdalej stojącego od Kościoła Katolickiego.

A ks. Bliźniński był — i pozostał — przykładem pracy katolickiej, którą jedni nazywali postępową, inni (w pierwszych latach jego działalności) rewolucyjną. Nie tyle tu jednak chodzi o postęp, czy o rewolucję, ile raczej o zrozumienie, że katolicyzm jest siłą twórczą, dynamiczną, wybitnie ekspansywną, że umie dostawać się do realnych warunków życia, że — właściwie pojęty — nie da się zmieścić w ciasnym łożysku tradycji i w schemacie formuł. Bo wywodzi się od tego, który był, jest i będzie na wieki **ZYCIEM**.

Ks. Henryk Weryński

Kraków, 21 października 1947 r. (w trzecią rocznicę zgonu ks. Bliźnińskiego).

Redagują: Jan Dobraczyński i Bolesław Piasecki.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71, Konto P.K.O. — Nr 1-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30

Druk. Skolimowska 8.

W y d a w c a: Kolegium Redakcyjne.

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.

B-38999